Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Na budowie elektrowni atomowej - str. 3

Co robi Halina Frąckowiak? -str. 10

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamena

1933 – 1983 kamena 50 lat CHEŁM · LUBLIN

NR 8 (775) 10-23 kwietnia 1983 CENA 10 ZŁ

O historii polityce i moralności

ROZMOWA ZE STEFANEM MATUSZEWSKIM

Stefan Matuszewski (z lewej) podczas przerwy w obradach Towarzystwa Kultury Moralnej w maju 1973 r.

— W 1944 roku pełnił pan funkcję zastępcy kierownika Resortu Informacji i Propagandy PKWN, którego szefem był Stefan Jędrychowski. O ile jednak wiem, to de facto pan kierował tym ministerstwem, formalnie stając na jego czele w ramach późniejszego Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej, utworzonego 31 grudnia owego roku, także w Lublinie. Co więc w tym czasie robił Jędrychowski?

— Reprezentował PKWN w Moskwie. Nawet nie spotkałem się z nim w momencie, kiedy zacząłem organizować wspomniany resort.

— A jaką drogą trafił pan do Lublina?

— Znad Oki, jako kapitan 3 dywizji piechoty I Armii Wojska Polskiego. Kiedy stacjonowaliśmy w Żyrzynie koło Puław, wezwał mnie do siebie generał brygady Stanisław Galicki — Polak służący wcześniej w randze pułkownika w Armii Czerwonej, urodzony w Białej Cerkwi pod Kijowem — i polecił, bym stawił się u Bolesława Bieruta. Pojechałem więc do Lublina, zresztą razem z majorem Edwardem Ochabem, który zameldować się miał w dowództwie naszej armii. Podczas spotkania z przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej i Edwardem Osóbką-Morawskim, Bierut zaproponował mi zorganizowanie Resortu Informacji i Propagandy.

— Ale dlaczego właśnie panu?

— Z Bierutem zetknąłem się przed wojną, w czasie jego pracy w spółdzielni „Wyzwolenie" na warszawskiej Pradze. I choć trudno powiedzieć, że łączyła mnie z tym działaczem komunistycznym bliższa znajomość, to przecież nie byliśmy sobie obcy. Zupełnie inaczej przedstawiały się moje kontakty z Osóbką-Morawskim. Obaj należeliśmy do Polskiej Partii Socjalistycznej; w międzywojniu on kierował organizacją partyjną na Rakowcu, ja — na Targówku. Razem działaliśmy ponadto w okręgu warszawskim kulturalno-oświatowego Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego; Osóbka-Morawski był skarbnikiem, ja zaś sekretarzem zarządu. Myślę, że to właśnie przewodniczący PKWN zaproponował moją osobę na wiadome stanowisko.

— Dodajmy, że przyszło panu kierować resortem niezwykle ważnym z politycznego punktu widzenia. Tej bowiem instytucji podlegały wydawnictwa, prasa, radio, film i kinofikacja oraz... świetlice. Kształciliście też kadry dla nowej administracji, we własnej szkole przy ul. 3 Maja w Lublinie.

— Generał Nikołaj Bułganin, oficjalny przedstawiciel rządu radzieckiego przy PKWN powiedział mi kiedyś, że Stalin z zadowoleniem przyjął skierowanie członka PPS na kierownicze stanowisko w Resorcie Informacji i Propagandy. Dotykam tu o-

Dokończenie na str. 8

Tropem zwierza

Anna Bocian

PROWADZĘ eksperyment etyczny — powiedział kłusownik, który odwiedził myśliwego, dawniej też kłusownika. Łączyły ich noce poć mroźnym księżycem i lisy zbyt sprytne, żeby wystawić się na cel, zanim przyjaciele westchną do wódeczki.

Myśliwy puknął się w czoło. Kłusownik z miną zakonnika, który wie, dlaczego sypia na cegle, powiedział:

— Dlatego. Dlatego mianowicie, że widzę absolutny konflikt interesów: żaden myśliwy nie potrafi zrozumieć zająca, jak długo będzie myśliwstwo. Myśliwi świadomie nie chcą wiedzieć, że zając boi się tak samo jak ty — zwrócił się do mnie. — Poczułam przy policzku delikatne futro z królika (Ta cudowna niefrasobliwość salonów mody i kuśnierzy, jakże odległa od spłoszonych oczu...)

— A zwierzę i tak zginie — przyjrzał się nam z uwagą myśliwy — Potrzebna jest śmierć w przyrodzie, żeby mogło istnieć życie. Banał, nawiasem mówiąc — przyznał.

— To nie eliminuje mojego konfliktu sumienia, sumienia człowieka zabijającego zająca — powiedział kłusownik i przywołał twórczość Meissnera, który polował całe życie, o polowaniach pisał cudownie. — Może go znasz — wtrącił uprzejmie, choć wiedział, że nie znam na pewno. — I dostał ten Meissner list od kobiety, która pisała, że była przeciwniczką łowiectwa, dopóki nie przeczytała jego książki. Jednym tchem przeczytała i zrozumiała, że w gruncie rzeczy nie jest ważna śmierć kilku kuropatw, wobec wielkiej przyjemności jaką jest polowanie.

— Nasz były olimpijczyk, Kiszkurno, na stare lata cieszy się po gazetach że jako dziecko wszystkie wróble wytłukł w okolicy — mówił dalej kłusownik — Kiedyś sąsiad zaprosił jego ojca na kaszyki. Kaszyk — ptak drobny, wyskakuje ponad trawę, leci szybko i do tego zygzakiem. Strasznie trudne strzały. Stary zapytał czy może wziąć synka. I szczyl prawie nie pudłował, tak się wprawił na wróblach. Ale jedna z zasad etyki łowieckiej zabrania ćwiczenia się w strzelaniu do celów żywych. I w ogóle etyka łowiecka mówi, żeby zabijać bez cierpień.

Dokończenie na str. 4

z notatnika

31 III. W Lublinie — goście z Bułgarii: radca ambasady LRB **Janczo Czaneszew**, III sekretarz ambasady **Petr Złatew**, zastępca dyrektora Bułgarskiego Ośrodka Kultury i Informacji **Bożko Bożkow** a także korespondentka Bułgarskiego Radia i Telewizji **Cweta Stefanowa**. Są i artyści: komity zespół — Trio Uniwersalne w składzie **Petyr Penczew** (akordeon), **Ewgeni Banow** (gitara) oraz **Walia Delgiewa** (ksylofon). Okres przedświąteczny nie sprzyja imprezom, toteż zarówno w Klubie MPiK na Leonarda jak i w „Maszy" tłumów nie ma. Szkoda. A może za mała reklama?

Udzielam wywiadu dla telewizji bułgarskiej. Korespondentka zdumiona przedwojennym numerem „Kameny" poświęconym w całości literaturze bułgarskiej...

Wszyscy goście mówią dobrze po polsku. Imponuje mi jednak Bożkow, który doskonale (w małym gronie!) naśladuje Michnikowskiego i Dziewońskiego ze znanego skeczu o lubartowskich Żydach!

W Lublinie powstało Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej. Zbliży ono zapewne jeszcze bardziej Bułgarię do naszego społeczeństwa.

1 IV. Ponad siedemset wniosków zgłoszono w czasie Krajowej Narady Aktywu Robotniczego, która odbyła się w Warszawie. Zastanawiano się nad sposobami walki z inflacją i niegospodarnością. Nie była to narada lukrowana, dyskutanci nie owijali słów w bawełnę, rządowe plany działań antyinflacyjnych nie zawsze spotykały się z aprobatą. Propozycje wysokiego opodatkowania dochodów pracowniczych, przekraczających znacznie przeciętną płacę, mogą być hamulcem dla ludzi rzetelnie i uczciwie pracujących. Zastrzeżenie wzbudziło też znaczne zwiększenie udziałów własnych ludności w pokrywaniu rosnących potrzeb budownictwa mieszkaniowego. „15 procent obecnego kosztu budowy mieszkania w bloku — mówiła **Alicja Sala**, brygadzistka z Kielc — to kwota około 150 tysięcy złotych za średnie mieszkanie. Czy mieszkanie jest również dobrem luksusowym — zwłaszcza dla młodych małżeństw na dorobku? Nie jest też — zdaniem moim i koleżanek — żadnym luksusem telewizor kolorowy..." Można dodać, że cena telewizora kolorowego „Jowisz" wynosi dziś mniej więcej tyle, ile osiem średnich płac miesięcznych...

Na naradzie podstawowy referat wygłosił **Kazimierz Barcikowski**. Uzupełniło go przemówienie wicepremiera **Zbigniewa Szałajdy**, który podkreślił, że w latach osiemdziesiątych nie możemy liczyć na obfitość zaopatrzenia, bezproblemowe uzyskiwanie dewiz i dostępność do czynników produkcji. Dysponujemy jednak dużym potencjałem przemysłowym, wyspecjalizowaną kadrą i kwalifikowanymi załogami. Mamy więc w ręku poważne atuty, których właściwe wykorzystanie zależy od załóg i harmonijnej współpracy wszystkich ogniw w zakładzie.

Znakomite było wystąpienie końcowe generała **Wojciecha Jaruzelskiego**. Przed naszą socjalistyczną ojczyzną — podkreślił premier — stoi dziś wybór takiej samej rangi, jaki nieraz stawał przed Polską w przeszłości: albo ekonomicznie mocno staniemy na nogi, albo na długie lata spadniemy do grupy tych krajów, które nie umiały sobie poradzić z historycznym przeciążeniem. Nie ma żadnych racjonalnych powodów, aby nasz wielki, ciężko wywalczony dorobek nie zaczął znów owocować. Kamiennej barykady na naszej drodze jednym skokiem pokonać się nie da. Uwierzmy, że jesteśmy na tyle silni, na tyle świadomi, aby ją wspólnie rozkruszyć. Nasz naród, jeśli zechce, potrafi wszystkiego dokonać. I dokona...

Najbliższe miesiące, najbliższe lata nie będą należały do najłatwiejszych. **Wacław Malecki**, technik-elektryk z Kombinatu Maszyn Rolniczych „Agromet" w Lublinie, powiedział, że w programie oszczędnościowym należy stworzyć właściwe motywacje. Podstawowe pytania, jakie rodzą oba programy, dotyczą efektu i czasu. Mają one szanse realizacji wówczas, gdy poprze je w działaniu — nie zaś w deklaracjach — klasa robotnicza. A klasa robotnicza poprze je wówczas, gdy sprawiedliwie określi się zadania dla wszystkich, a skutki kryzysu rozłoży równomiernie. Rząd musi wykazać konsekwencję w realizacji zadań, wydając czytelne akty wykonawcze.

2 IV. Tygodnik „Newsweek" zamieścił wstrząsający tekst o wykorzystywaniu dzieci w toku działań wojennych na froncie irańskim. Prasa irańska prawie codziennie poświęca trzy lub cztery strony na relacje z pola walki, ostatnie życzenia czy też listy żołnierzy-chłopców, wzywających swych kolegów, by poszli do boju. Dziesiątki tysięcy ochotników poniżej przepisowego wieku poborowego 18 lat odpowiada na wezwanie: przybywają na front z czerwonymi opaskami z napisem „męczennik" i małymi metalowymi „kluczami do nieba", zawieszonymi na szyi. Niektórzy spośród nich — chłopcy trzynasto- i czternastoletni (!!!) — na swych koszulach khaki wypisali hasła: „Posiadam specjalną przepustkę imama na wejście do nieba". Uzbrojeni w tego rodzaju talizmany — a także dodatkowo karabiny, których często nie są w stanie unieść — mali chłopcy-wojownicy maszerują ku silnie strzeżonym pozycjom irackim, rzucają się na czołgi i żołnierzy, atakując całą masą ludzką. To irańscy odpowiednicy japońskich kamikadze. Irakijczycy zabijają ich całymi tysiącami...

„Newsweek" stwierdza, że sam ajatollah **Chomeini** firmuje te ofiary. Wysyła mullów i weteranów wojennych do szkół i meczetów na wsi, by tam opowiadali historie o młodych wojownikach, którymi kieruje ręka ajatollaha, prześlizgujących się między szeregami nieprzyjaciela. Wielu młodych, biednych i niewykształconych chłopców z religijnych rodzin z miejsca zaciąga się w szeregi armii.

XX wiek dobiega końca. XX. Nie XI. Absurdalna wojna między Iranem a Irakiem trwa nadal...

3 IV. Wczoraj i dziś wysłuchałem w TV sprawozdania z konferencji prasowej wicepremiera, ministra spraw zagranicznych ZSRR, **Andreja Gromyki**. Radziecki mąż stanu mówił, nie odczytywał z góry opracowanego referatu, bardzo jasno przedstawił stanowisko rządu radzieckiego wobec ostatnich propozycji prezydenta Reagana. Konferencja wywołała ogromne zainteresowanie na całym świecie. Nic dziwnego — sytuacja międzynarodowa uległa ostatnio gwałtownemu pogorszeniu. Reagan ogłosił fantastyczny program antyrakietowych kosmicznych zbrojeń laserowo-molekularno-elektronicznych. 200—300 miliardów (!!!) dolarów ma przekształcić przestrzeń kosmiczną w jeszcze jedną sferę wojenną.

Rakiety, antyrakiety. Ziemia, Kosmos... Do czego zmierza ludzkość? Chciałoby się o tym wszystkim nie myśleć przy świątecznym stole. Ale jakże nie myśleć, skoro są to sprawy najważniejsze — życia i śmierci...

4 IV. Znakomity pomysł miał **Józef Barecki**, szef „Rzeczypospolitej". Redakcja zwróciła się do kilkunastu osób z pytaniem, co by zaproponowały, gdyby były doradcami premiera.

Zbigniew Lubowicz, technik-elektronik w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu postulowałby przebudowę struktury płacowej według starej zasady — każdemu według pracy. „Taka przebudowa systemu motywacyjnego nie powinna dotyczyć jedynie robotników. Trzeba też pomyśleć o kadrze inżynieryjno-technicznej. Ci ludzie powinni przestać być urzędnikami. A więc potrzebne są odczuwalne preferencje dla tych inżynierów, techników, którzy tworzą i wdrażają do praktyki produkcyjnej nowe rozwiązania techniczne i technologiczne, których pomysły przynoszą oszczędności materiałów i energii. Słowem dla tych, którzy pracują twórczo. I to im się musi opłacać, proporcjonalnie do korzyści, jakie ich projekty przynoszą zakładowi."

Marek Grabarek, ekonomista, pracownik „Unitry" mówi, że wprowadziłby system jednostkowych obciążeń za wszystko — pracę, niesubordynację służbową, maszynę i młotek, przy której lub którym się pracuje. Na konto pracownika zapisywałby gwóźdź i pinezkę, którą pobrał z magazynu. Wprowadziłby zaostrzone normy zużycia materiałów. „Przychodzi do mnie — stwierdza Grabarek — malarz odnawiać mieszkanie i mówi, że o farby i tapety mogę się nie kłopotać. Pytam, skąd on je weźmie — przecież nie będzie stał w kolejce przed sklepem z chemikaliami. On je po prostu „zaoszczędzi" u siebie w pracy. Pytam — czyim kosztem cwaniacy nabijają sobie kabzy? Nas wszystkich! I podobna sytuacja będzie z hydraulikiem, specjalistą od pralki, telewizora..."

Krzysztof Mazurek, urzędnik administracji państwowej uważa, że najwyższy czas położyć kres spekulacyjnemu handlowi samochodami i mieszkaniami. „Teoretycznie istnieje kontrola, a ściślej rzecz biorąc komisja, która przydzielając mieszkanie kieruje się warunkami lokalowymi kandydata na nowe mieszkanie. Tak odpowie każdy prezes spółdzielni mieszkaniowej. Proszę mi zatem wyjaśnić, skąd się biorą te puste, nie zamieszkane lokale, albo propozycje oficjalne, bo w gazecie — o wynajmnie mieszkania po paskarskich cenach. Mieszkań nie ma, a niektórzy mają je w nadmiarze, skoro wynajmują (...) Tak w przypadku mieszkań jak i handlu samochodami przeprowadziłbym wnikliwsze i ciągłe kontrole. Wszak osób, które wyjeżdżają za granicę i chcą wynająć mieszkanie — najchętniej cudzoziemcowi — jest niewiele. A skoro już się na to decydują, niech będzie przepis, że mogą wynająć, ale wyłącznie za pośrednictwem „PUMY", a jeśli wynajmują rodakowi — niech powstanie też biuro pośrednictwa..."

Krystyna Kubica, ekspedientka sklepu z artykułami gospodarstwa domowego w Krakowie, doradzałaby przeprowadzenie rzetelnej analizy ruchu cen w ostatnich dwóch latach. „Jako ekspedientka pracująca w sklepie, gdzie większość artykułów nosi tzw. cenę umowną, mam szczególną okazję, aby przekonać się o licznych nieprawidłowościach. Bo jak wytłumaczyć fakt, że ten sam towar, produkowany przez różnych producentów, ma inne, bardzo różniące się od siebie, ceny? Mam prawo przypuszczać, że niektórzy producenci albo spekulują, albo po prostu za pomocą ceny próbują ukryć swoją niegospodarność czy złą organizację pracy."

Wiesław Czyszek, technik rtg w szpitalu wołomińskim stwierdza, że samo nawoływanie do rzetelnej pracy niczego nie zmieni. Musi być zastosowana terapia wstrząsowa, którą powinna cechować odwaga, jaka towarzyszyła decyzjom z grudnia 1981. „Doradzam rządowi: zlikwidowanie sztucznego, pełnego zatrudnienia. Kto się podejmie pracować za dwóch, niech będzie premiowany zdecydowanie wyższymi zarobkami. Kto zaś nie chce niech przejdzie na zasiłek równy minimum socjalnemu na pół roku, po upływie którego pierwsza zaproponowana praca przez urząd zatrudnienia musi być przyjęta, albo zasiłek zostanie cofnięty."

August Puchała, górnik w KWK „Wujek" w Katowicach zapytuje, jak to się dzieje, że coraz więcej wydobywamy węgla, a ciągle jest go za mało? „Jest tak dlatego, że za mało uwagi przywiązujemy do jego oszczędzania. Jest już wiosna, a kaloryfery w mieszkaniach grzeją tak, że wytrzymać nie można, nawet przy otwartych oknach. Niska jest też wydajność kotłów. Zamiast ustalić precyzyjne normy zużycia węgla i zobowiązać palaczy do... patrzenia na termometr, a nie tylko na limity; wymienić i zmodernizować kotły; wprowadzić nowe piece przystosowane do oszczędnego spalania i do gorszych gatunków węgla..."

Jest też głos z Lublina. **Romualda Gołębiowska**, inspektor w Okręgowym Urzędzie Cen stwierdza, że teraz np. w wielu zakładach dyrektorzy i samorząd dzielą premie równo, bojąc się urazić kogoś złą oceną jego pracy, bo ludzi wszędzie brakuje. „Tą drogą jednak daleko nie zajdziemy i nie rozbudzimy ambicji dobrej wydajnej pracy..."

Propozycje można mnożyć i na dobrą sprawę każdy z nas wymyśliłby wiele, często przeciwstawnych. Samym gadaniem nie przezwyciężymy jednak kryzysu. Uważam, że przede wszystkim trzeba rzetelnie rozliczać ludzi piastujących takie czy inne, większe czy mniejsze stanowiska, a tych, którzy ani dawniej ani dziś się nie sprawdzają — zastąpić innymi. A u nas często jeszcze kręci się karuzela i wieczny dyrektor zmienia tylko fotele...

M. A. Jaworski

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o nagłej śmierci w dniu 15 marca

dr. Romana Rosiaka

krytyka literackiego, wielkiego znawcy i propagatora twórczości ludowej, redaktora ukazujących się przez wiele lat w „Kamenie" kolumn — „Ziemia i Pieśń".
Cześć Jego pamięci!

Zespół i Kolegium Redakcyjne „Kameny"

KRONIKA

● Jak na dzisiejsze czasy, przedświąteczne zaopatrzenie sklepów lubelskich było zupełnie dobre. Stragany na targowiskach także przedstawiały się nieźle, z tym wszakże, że taki np. indyk 10-kilogramowy kosztował 2700, kura 800 zł kilogram pomidorów — 1000 zł.

● Ponad 450 organizacji związkowych działa w naszym regionie, najwięcej w resorcie oświaty i kultury, następnie w handlu, spółdzielczości i rolnictwie. Na szarym końcu tej listy znajdują się zakłady przemysłu lekkiego i terenowego oraz placówki służby zdrowia.

● 50 rocznicę urodzin obchodził (29 marca br.) Henryk Zwolakiewicz: długoletni pedagog w lubelskim szkolnictwie plastycznym, interesujący malarz (znakomite akwarele i gwasze) oraz grafik (druki akcydensowe i inne), a przy tym człowiek o wielkich zaletach charakteru. Życzymy zdrowia i nieustającej aktywności twórczej.

● Po trzech miesiącach działalności Stowarzyszenie Autorów Polskich w Lublinie liczy już 24 członków (zaczynale od dziesięciu).

● Spór o salę „Sokoła" na Starym Mieście w Lublinie rozstrzygnięty: decyzją władz miejskich sportowcy ustępują miejsca Teatrowi Lalki i Aktora. Poza tym Towarzystwo Muzyczne im. H. Wieniawskiego przejmie, do końca bieżącego roku, cały budynek nr 17 przy Rynku. Maluczko (?), a w tymże rejonie miasta otworzy swoje sale Lubelska Galeria Sztuki (istniejąca dotąd w formie scenariusza) — o czym informujemy z okazji 1 kwietnia.

● W UMCS odbyła się konferencja naukowa na temat koncepcji i perspektyw rozwojowych Lubelskiego Zagłębia Węglowego, zorganizowana przez oddziały Pol. Tow. Geologicznego, Pol. Tow. Geograficznego oraz Instytut Nauk o Ziemi tejże uczelni. Przy okazji warto przypomnieć, że kilka lat temu podobne spotkanie urządziła nasza Akademia Rolnicza — nie miało ono żadnego wpływu na kwestię ochrony środowiska w obrębie LZW.

● Podliczają swoje dochody członkowie rolniczych spółdzielni produkcyjnych regionu: przeciętna dniówka obrachunkowa, jak ustalono, sięgała 500 zł.

● W marcu w lubelskiej Bibliotece Międzyuczelnianej czynna była wystawa twórczości naukowej i publicystycznej przedwcześnie zmarłego prof. Adama Kerstena, wybitnego znawcy historii XVII w. Pamiętamy, jakie tłumy słuchaczy gromadziły otwarte wykłady Profesora z zakresu historii Polski, wygłaszane w Chatce Żaka...

● Nałęczowski rzeźbiarz Michał Pudełko, wspomagany przez syna Mariana, kończy prace nad monumentem upamiętniającym bohaterstwo polskiego żołnierza w wojnie obronnej 1920 roku na terenie Tomaszowa Lubelskiego i okolicy. Pomnik z piaskowca stanie przy głównej ulicy miasta: 1 Maja.

● Swoje piękne tkaniny pokazała w zamojskim BWA Jolanta Owidzka z Warszawy, a „Tygodnik Zamojski" przeprowadził z tej okazji obszerny wywiad z artystką — co odnotowujemy ze szczególną uwagą. W maju BWA proponuje kolejną interesującą wystawę: rysunków Edwarda Lutczyna! Gdyby tak inne placówki ekspozycyjne naszego regionu zdobyły się na tak różnorodną i ciekawą ofertę!

Pionierzy płacą wyższą cenę

ATOMOWA KOŁOMYJA

Henryk Pajął

OSTATECZNA decyzja o budowie tego atomowego kolosa zapadła 18 stycznia ubiegłego roku, a więc w okresie przerywania wielu innych znacznie tańszych i już kontynuowanych inwestycji. Ta budowa oraz metro warszawskie — to dwie wielomiliardowe decyzje, obecnie chyba nie mające sobie równych w kraju skalą nakładów finansowych w perspektywie do 1990 roku.

Elektrownia atomowa nad Jeziorem Żarnowieckim w województwie gdańskim — bo o niej tu mowa — ma kosztować do 1990 roku około 44 miliardów złotych, liczonych w cenach z 1978 roku, bo tego właśnie roku sięgają pierwsze przymiarki kosztorysowe. Można więc śmiało powiedzieć, że w 1990 roku, kiedy mają ruszyć dwa z czterech bloków energetycznych, kwota 44 mld podwoi się — już dziś jest grubo nieaktualna, biorąc w liczbach bezwzględnych.

Od lat oczywiste, że kiedyś będziemy musieli mieć „prąd atomowy", pytanie tylko, kiedy i gdzie, gdyż elektrownie atomowe w świecie stają się już niemal konwencjonalnym źródłem prądu po węglowych i wodnych. Wybór Jeziora Żarnowieckiego narzucał się sam — dobiegała tu końca budowa szczytowo-przepompowej elektrowni wodnej. Praca takiej elektrowni polega na tym, że nocą, gdy zapotrzebowanie na prąd jest małe, pompuje się wodę w górę, do sztucznego zbiornika, skąd spada ona na turbiny w ciągu dnia, a więc w czasie deficytu prądu. Strata między energią włożoną i uzyskaną wynosi około 30 proc., ale zyskiem jest złagodzenie deficytu dziennego. Jezioro Żarnowieckie dawało warunki do budowy takiej elektrowni. Położone wśród wzniesień tzw. Szwajcarii Kaszubskiej, pozwala przetaczać swoje wody do zbiornika urządzonego na jednym z tych wzniesień.

Elektrowni atomowej nie są potrzebne takie konfiguracje. Reaktor pracuje przez całą dobę, w procesie ciągłym i da m.in. prąd potrzebny do tłoczenia wody w górę w ciągu dnia. Docelowo będą tam pracować cztery bloki o mocy 465 megawatów każdy, w tym pierwsze dwa ruszą za siedem lat.

Garść tych suchych faktów w zasadzie wyczerpuje informacyjną stronę pierwszej polskiej „atomówki" i w takim też kształcie prasa centralna przekazała ją czytelnikom odkładając sprawę niejako ad acta, może nawet do końca owych siedmiu lat, gdy przyjdzie przecinać wstęgę.

Niestety, na miejscu, na olbrzymim placu budowy, wśród tysięcy mieszkańców okolicznych wiosek i około 1200 bezpośrednich wykonawców, atomówka rozpada się na wiele ludzkich dramatów, na rozległą panoramę budowlanych zaniedbań, bezhołowia, resortowo-zjednoczeniowych przetargów, milionowych strat ponoszonych już na samym starcie. Spora część tego atomowego bałaganu, jak zdążyło już nazwać te pierwsze galopy „atomówki" „Życie Gospodarcze", jest zasługą ludzi, którzy już odeszli z dwóch ministerstw (Budownictwa oraz Górnictwa i Energetyki) i z ciepłych posad w resortach i zjednoczeniach, choć wielu siedzi tam nadal; anonimowi, niewinni...

Byłem na tej budowie. Rozmawiałem z wykonawcami, z rolnikami Kartoszyna — wsi, która nagle, niemal z dnia na dzień, znalazła się w epicentrum atomówki; przestudiowałem suche zapisy kroniki budowy. Wyłania się z tego ponury obraz improwizacji i świetnie zorganizowanego bałaganu.

Uchwała Rady Ministrów z 18 stycznia 1982 r. tchnęła oficjalne życie w budowę żarnowieckiej atomówki, ale przygotowania trwały już kilka lat. Były dokumentacje, umowy o zakupie w ZSRR bloków energetycznych, istniał już inwestor — Zakłady Energetyczne Okręgu Północnego Bydgoszcz, oraz wykonawca — Gdańskie Przedsiębiorstwo Budowy Elektrowni i Przemysłu — popularny tam Energoblok, mający zresztą w swoim portfelu zamówień na kilkadziesiąt innych inwestycji, co prawda nie takiej rangi. Byli też chłopi z Kartoszyna: ich zabudowania i pola. Nagle w kwietniu ub. roku na tę starą wieś kaszubską runęła lawina krazów, tatr, kamazów, spychaczy i wywrotek. Przystąpiono do zdejmowania kumusu — wierzchniej warstwy ornej ze 170 hektarów pól już wykupionych i wywłaszczonych. Pozostały jednak pola i zabudowania ośmiu gospodarstw nie wywłaszczonych. Rolnicy patrzyli, jak w tumanach kurzu i łoskocie ciężkiego sprzętu ich pola i domy stają się wysepką w środku księżycowego krajobrazu budowy. Tymczasem trwały przetargi o to, co z nimi zrobić. Formalnie decyzja już była — przeniesie się ich do odległej o 10 km wsi Odargów, gdzie dostaną 100 hektarów należących do Stacji Hodowli Roślin. Ale kto im zbuduje domy i zabudowania gospodarcze? Energoblok jako wykonawca nie ma tego obowiązku. Wystarczy, że ponosi dodatkowe koszty, budując drogę omijającą wieś. Inwestor jednak rozkłada ręce — nie ma możliwości budowy zagród chłopskich — brak dokumentacji, brak wykonawstwa. Proponuje to Przedsiębiorstwu Budownictwa Rolniczego w Wejherowie. PBRol. jednak odmawia — za mała inwestycja. Proponuje pewnej spółce polonijnej. Ta, owszem, ewentualnie przyjmie zlecenie, ale w tzw. cenach kroczących, w końcu jednak w ogóle odmawia. Mija pół roku tych przetargów — wreszcie podejmuje się tego zadania skromna grupa remontowo-budowlana ze Straszyna, ale — osiem zabudowań gotowych będzie nie wcześniej niż za 1,5 roku. Chłopi godzą się na ten termin, bo muszą. Żądają tylko, żeby w domach były piece chlebowe i wspólna studnia na wypadek awarii wodociągu.

Gehenna chłopów z Kartoszyna, to tylko fragment bałaganu organizacyjnego na budowie żarnowieckiej. Gdy Rosjanie zaczynają u siebie budowę elektrowni atomowej, to przez trzy lata trwają tam przygotowania zaplecza i dopiero potem następuje pięcioletni okres właściwej budowy. Tu zbiegło się wszystko naraz: brakuje ludzi, sprzętu, chleba, baza noclegowa nie istnieje. Taki był start polskiej budowy. Dołączają do tego przetargi między inwestorem i wykonawcą. Energopol-6 nie chce oddać hotelu robotniczego w Nadolu po kończącej się budowie elektrowni wodnej. Wie, że musi oddać, ale na razie wywozi meble i urządzenia. To zemsta za to, że nie zlecono mu bardzo opłacalnych robót ziemnych pod atomówkę. Kłótnie o hotel docierają do dwóch ministerstw. Gdy wreszcie Energoblok otrzyma ten hotel — okaże się, że obiekt jest zdewastowany i trzeba brać się za remont. Dopiero we wrześniu ub. roku Energoblok dostanie w dzierżawę ośrodek wypoczynkowy w Łebkowie ze stołówką na dwa tysiące miejsc, ale łączne potrzeby budowy, która potrwa 10 lat, wynoszą 1600 mieszkań — 1200 w projektowanym osiedlu w Radzinie i 400 w Gniewnie. Zaczynać trzeba od powołania dyrekcji budowy osiedla.

Dla oszczędności nie zakupiono w ZSRR korzystnego projektu elektrowni. Turbiny np. będą polskie, nie ma też projektu urządzenia placu budowy, brak koncepcji odwodnienia terenu, jego uzbrojenia, dokumentacji roboczych. Jest tylko harmonogram budowy — wzięty z sufitu, od początku fikcyjny. Latem szuka się gorączkowo po całym kraju tzw. grodzi Larssena, potrzebnych do uszczelnienia dna jeziora. Uszczelnienie musi sięgać ośmiu metrów poniżej dna. Grodzie są warunkiem drążenia wykopu pod główny trzon elektrowni. Grodzi nigdzie nie ma: import. Specjaliści z Huty Katowice decydują się wyprodukować nieznane im grodzie. Udaje im się to z powodzeniem. Gdy grodzie są już gotowe, rozpoczyna się poszukiwanie specjalistycznego kafaru do ich wbijania. Z pomocą przyjdą wojska saperskie.

Dyrektor naczelny głównego wykonawcy westchnie z goryczą na jednej z narad: „Na tej budowie zrobiono kilka doktoratów i medali, a teraz muszą to wszystko naprawiać elektrowie-frajerzy!"

Tymczasem na elektrowni wodnej po drugiej stronie jeziora rozgrywają się godziny grozy.

Nocą z 21 na 22 lipca spacerujący obok górnego zbiornika wodnego elektrowni emeryt z Gniewna, Zygmunt Chełminiacki, z przerażeniem dostrzega, jak w wysokiej na 20 metrów ścianie zbiornika pojawia się rozległe pęknięcie, z którego pod ogromnym ciśnieniem zaczyna strzelać woda. Emeryt podnosi alarm. Traf chciał, że brygada remontowa nie wyjechała do domów na 22 Lipca — zabrakło miejscówek na pociąg do Warszawy. Gdyby nie ten drobny fakt — nie byłoby ludzi do uruchomienia turbin i 20-metrowa ściana wody runęłaby na domy i pola trzech okolicznych wiosek. Elektrownia staje. Zaczyna się szukanie winych pęknięcia. Użytkownik wskazuje na wykonawcę, ten na użytkownika, żądając dodatkowych milionów na usunięcie awarii. Ale wizytujący elektrownię minister górnictwa i energetyki, gen. Piotrowski, oświadcza, że dotacje na tę budowę zostały już wyczerpane i rząd interesują już tylko megawaty z tej elektrowni.

Tymczasem prace na atomówce trwają. Przemieszczono setki tysięcy metrów sześciennych ziemi. Wyłania się zarys kotłowni pilotującej, trwa montaż baraków i tzw. domontów, przystępuje się do wbijania grodzi.

I wreszcie kolejna sensacja: uporczywe pogłoski o zmianie generalnego wykonawcy potwierdzają się. Zostaje utworzone krajowe przedsiębiorstwo pod nazwą Przedsiębiorstwo Realizacji Inwestycji i Eksportu „Energobud" z „Dyrekcją Budowy Elektrowni Jądrowej Żarnowiec".

Czas był ku temu najwyższy. Likwidowano właśnie Zjednoczenie Energetyki i należało gdzieś ulokować jego czołową kadrę. Powstaje więc przedsiębiorstwo „bez sił własnych" i jego placówka w Żarnowcu zyskuje miano generalnego wykonawcy. Dotychczasowy generalny wykonawca, Energoblok, zatrudniający około 1300 ludzi i około 20 podwykonawców, zostaje zepchnięty do roli podwykonawcy. Te przesunięcia dzieją się oczywiście tylko na papierze, ponieważ nic się nie zmienia w stanie faktycznym: Energoblok działa nadal, zresztą do chwili obecnej jest faktycznym wykonawcą, podczas gdy nowy twór będzie dysponował jedynie pieczątką i szyldem na nowym baraku. Trwa huśtawka foteli dyrektorskich. Naczelnym nowej centrali w Warszawie zostaje były dyrektor Zjednoczenia. Dyrektorem naczelnym placówki w Żarnowcu mianowano zastępcę dyrektora Zjednoczenia. Po jakimś czasie do Żarnowca przyjeżdża Michał Misiorny z „Trybuny Ludu" i kieruje swoje kroki do biura z szyldem: Dyrekcja Budowy Elektrowni Jądrowej w Żarnowcu, po czym pisze (23.X.1982 r.) reportaż o tym, jak to dzielna załoga Energobudu wznosi atomówkę, ile to już zrobiła, ile milionów przerobiła. Nie dodaje, bo nie wie, że żarnowiecki Energobud to tylko papierowa czapa, przedsiębiorstwo nie dysponujące nawet jedną łopatą; jest to po prostu „przechowalnia urzędników" — jak to wkrótce trafnie określi red. Wodecki z „Głosu Wybrzeża".

Złośliwy los powoduje, że za sprawą wadliwej instalacji elektrycznej — siedziba „przechowalni" wraz z pięknym szyldem spłonie którejś styczniowej nocy doszczętnie. Straty pięć milionów złotych. Do oburzenia załogi prawdziwego, choć zdegradowanego generalnego wykonawcy dochodzą kpiny robotników — władze wojewódzkie, świadome fikcyjności nowego przedsiębiorstwa, zwlekają z wyrażeniem wymaganej zgody na prowadzenie działalności gospodarczej przez Energobud w Żarnowcu. Zgoda jednak zapada i „generalny wykonawca" przejmuje... prowadzenie hotelu robotniczego i stołówki. Codziennie sześć autobusów orbisowskich dowozi z Gdańska i odwozi ich po piętnastej. Z pełną energią natomiast kontynuuje się roszady personalne. Dotychczasowy dyrektor Energobloku za krytykowanie nowej zwierzchności otrzymuje dymisję ze swojej funkcji. Dymisję wręczono mu zresztą w szpitalu, gdzie leżał po ciężkim zawale. Przeżył jednak i zawał i dymisję. Dyrektor Energobudu w Żarnowcu awansuje w tym czasie na szefa centrali Energobudu w Warszawie. Wakujące stanowisko w Żarnowcu zaproponowano przebywającemu w NRD inż. Szumiacie, byłemu dyrektorowi budowy Bełchatowa. Kandydat szybko zorientował się na placu budowy w dwuznacznej sytuacji Energobudu i odmówił. Jest on bowiem po śmierci inż. J. Zielińskiego, twórcy elektrowni w Koninie, uważany za człowieka nr 1 polskiego budownictwa energetycznego i funkcja administratora zaplecza socjalnego nie bardzo mu na razie odpowiada. Wtedy wezwano z budowy elektrowni w Turcji inż. Kleczkę. Przyjechał, rozejrzał się i również szybko odleciał z powrotem. Ostatecznie dyrektorem placówki Energobudu w Żarnowcu został dotychczasowy jej wicedyrektor, inż. Saramowicz, chemik uniwersytecki, który budował toruńską Elanę.

I tak nastał 1983 rok — drugi z 10 lat budowy żarnowieckiej atomówki. Plan rzeczowy na br. zakłada budowę mieszkań, stołówki z szatnią, położenie tzw. pierwszego węzła betoniarskiego, sieci wodnej i centralnego ogrzewania, oczyszczalni ścieków i kotłowni, a także głębokie zbrojenia i odwodnienie terenu pod niecką elektrowni.

Wykonawca ma zapewnione na br. 950 mln zł. Jeśli kwota nie podwoi się, to w sierpniu budowa stanie. Ministerstwo Górnictwa i Energetyki przezornie ostrzega, że trzeba skrócić front i poprzestać w tym roku na przygotowaniu zaplecza.

Można by zrobić w ramach tych 950 mln zł trochę więcej, dokładnie o 3 proc. tej sumy — bo tyle z wartości przerobu bierze na swoje utrzymanie Energobud — generalny wykonawca „bez sił własnych". Stanowi to zaledwie około 30 mln złotych — stosunkowo niewiele w perspektywie: prawie miliarda. A ile w perspektywie 10 lat tej budowy i ile w bilansie całego Energobudu? Podobny pośrednik między inwestorem a faktycznym wykonawcą istniał przecież pod inną tylko nazwą, podczas budowy Bełchatowa i Kozienic. To już tradycja, zmieniająca jedynie szyldy.

Za 10 lat, gdy rozbity atom da w Żarnowcu pierwsze megawaty, zapewne nikt już nie będzie pamiętał o błędach i niedociągnięciach pierwszych lat budowy. Pionierzy zawsze płacą wyższą cenę.

Tropem zwierza

Dokończenie ze str. 1

— Jakby to było możliwe — wtrąciłam, bo bywam pedantka.

— Niewątpliwie — dodał kłusownik — u podstaw łowiectwa leży instynkt zabijania. Normalny atawizm. Aleksander Danilczuk, Polak i oficer carskiej armii, nie tyle znany myśliwy, co gawędziarz, wpadał w zachwyt nad ilością ubitej zwierzyny na dostawy dla wojska. To się również nazywa żyłka łowiecka.

— Trzeba zaznać tego — ze smakiem powiedział myśliwy. — Jak nie zrozumiem pływania jachtem po morzu w sztormie. Twój przyjaciel mówi — zwrócił się do mnie — że wielkie bogactwo wrażeń; przemóc chorobę morską, przemóc zmęczenie, aż na koniec zostanie jacht i człowiek.

Spojrzeli na mnie z głębi świata mężczyzn, pełnego tajemniczych impulsów między muskułami, sercem i mózgiem. Po chwili na stole stanęła butelka starowinu i było jasne, że obaj zamkną się zaraz pod kopułą męskich wspomnień, niedostępnych dla bab. Tę, uchylając rąbek ich świata — jak pielgrzym ze starego sztychu wyglądający poza horyzont w międzygwiezdną przestrzeń — najwyżej mogą wsunąć po talerzu jajecznicy.

— Na boczku! — z uciechą zaordynował myśliwy.

— Prawdziwy sens polowania oddaje rosyjskie słowo *achota* — kłusownik ze wschodnią miękkością poprawił się — *achotitsia*, znaczy podochocić się, zażywać przyjemności. Nasi myśliwi w rozmowach z dziennikarzami ratują się racjami gospodarczymi. Bo dewizy, bo nie ma tylu drapieżników, a w cieniu tych argumentów chowają własną przyjemność. Człowiek nie staje się myśliwym, ponieważ widzi potrzebę selekcyjnego odstrzału zwierzyny. Normalny człowiek zabija, bo lubi. I jeszcze bierze setki złotych za kilogram dzika. A potem mówi się, że łowiectwo to planowa gospodarka zwierzyną. No bo i tak to wygląda od strony ekonomicznej i przyrodniczej.

— A samo zabijanie? — zapytałam.

— Samo zabijanie jest przykre. Chociaż człowiek, podniecony chęcią zdobywania, zdobywa. Było mi żal pierwszego bażanta. Piękno zamieniłem w obrzydliwą kupę pierza.

— Powiedz jej o słonkach — doradził myśliwy. Kłusownik skinął głową. — Najbardziej lubię na słonki. Idzie się w kwietniowy zmierzch, na krawędź lasu, niebo zaciągnięte długim różowym przedzmrokiem. Nosem wciągasz całe przedwiośnie, zapach pomokłej ziemi, liści jeszcze gnije od cholery. Samiec frunie chrapiąc, ona siedzi na ziemi. Polowanie trwa tyle, co zmierzch. Okropnie udziela się ten spokój. Czytałem raz w „Łowcu" o facecie, który zagonił się w bagna, gdzieś koło Biebrzy. I musiał nocować tam incognito sam w środku kłębowiska ptaków. To jest jedna z tych rzeczy, których się nie zrozumie, dopóki się nie przeżyje.

— A kuropatwy? — podpowiedział myśliwy.

— Kuropatwy w słoneczny jesienny dzień z psem — też lubię.

— Dlaczego z psem? — nie wiedziałam.

— Bo polowanie bez psa jest jak wesele bez muzyki.

— Powiem ci coś, chociaż w tej chwili nie pilnuję interesu myśliwych — zwrócił się do kłusownika przyjaciel. Żeby ludzie byli w porządku, łowiectwem powinni zajmować się etatowi myśliwi, a nie amatorzy. Jak może być dobrym gospodarzem łowiska facet, który mieszka sto kilometrów od swojego obwodu? Może i chłop ma rację, kiedy sam chodzi na dzika. Zresztą, kto wychowany pod lasem nie jest kłusownikiem?

— Wiadomo — parsknął spod wąsa kłusownik, a wąsy miał w ochronnym kolorze wyrudziałej trawy. Jego przyjaciel odchylił się w krześle, nie mieszcząc się w miniaturze dobrobytu między lodówką a zlewem. Obaj nie mieścili się też w konwenansach, gdyż ciągle przychodzili z błota, albo wychodzili nocą postać na zimnie. Żyli poza czasem i przestrzenią, a do czasu, kiedy myśliwy nie usankcjonował swego związku z bronią, poza prawem.

— Mojemu kolesiowi dziki tak niszczyły uprawy — myśliwy szukał w myślach porównania — jak cholera! Aż cztery sztuki broni mu zabrali. To mówię, szlaban, dziki ci zryją podwórko. Och, jeszcze tam się parę sztuk znajdzie, jeszcze będzie z czym wyjść, powiada on.

— Jest kilka rodzajów kłusownictwa — odczuł potrzebę systematyzacji kłusownik. — Nie mówię o wnykarstwie, choć czasem co krzak, to wnyk. Ani o pętlach na sarny na przygiętych brzózkach. Sarna wsadza głowę i już wisi w powietrzu. Człowiek, jak idzie pochylony, może tak samo. A żelastwa? Widziałem raz szczęki na dzika. I człowiek nie zauważy... Kłusownictwo to nielegalne, a czasem okrutne wchodzenie w posiadanie zwierzyny, która w stanie dzikim należy do państwa. Kłusownik okrada państwo!

— Jak okrada z bronią, dodatkowo odpowiada za posiadanie broni — uzupełnił myśliwy.

— Kłusownictwo istnieje odkąd jest myśliwstwo — ciągnął dalej przyjaciel myśliwego tonem prawie beznamiętnym. — Kłusuje i myśliwy, jeżeli nie ma pozwolenia na zwierzynę. Przeważnie myśliwi robią to w swoim obwodzie: wiesz, coś do garnka by się przydało. I do bagażnika, trzask. Kiedyś o mało mnie nie postrzelił taki skurczysyn. Poszedłem o świcie na spacer polami w stronę Wieprza. Na łąkach stał tuman mgły jak mleko. Słyszę — jedzie trabant. Stanąłem, nie wiem dlaczego nie chciałem, żeby mnie widział. Huknął strzał i wiązka śrutu przeszła mi metr od głowy. Może srokę gdzieś bliżej zobaczył? Odjechał nie trzaskając drzwiami, nie gasząc silnika.

—To najgorsze kłusownictwo z możliwych — zauważył myśliwy.

— Znam też myśliwstwo najgorsze z możliwych — zrewanżował się kłusownik. — Z delegacją w kieszeni pan bonza jedzie sobie na polowanko. Za nim służbowy fiat wyjęty spod kontroli ruchu drogowego wiezie skrzynkę wódki. Pan bonza raczy zabić sztuk parę, które mu miejscowi podprowadzą, bo co on tam z doskoku może, i po zawodach. Z tym wiąże się kwestia ogólna: kto powinien mieć prawo do polowania? W średniowieczu zwierzyna była własnością panującego. Jeszcze przed wojną należała do właściciela gruntu. Teraz znowu jest własnością państwa. Ale to chłop żywi zająca i po jego polu zając kica. W średniowieczu, co tu dużo mówić, łowiectwo też było dla możnych, więc musiało być prawo zabraniające. Ale ptactwo, zające, nawet lisy, były spod prawa wyjęte. Ptaki łapano zresztą w sieci.

Myśliwy miał minę szczęśliwą jak dziecko. — Nigdy w średniowieczu nie musiałbym być myśliwym. Moje zbójeckie prawo zabić lisa!

— Ale nie bobra — kłusownik wykazywał się coraz większą znajomością rzeczy. — Bóbr i tur były zwierzyną królewską. W średniowieczu istniał zawód bobrownika, osadzanego w pobliżu żeremi bobrowych. Wniosek, że musiało istnieć i kłusownictwo.

Zapadło milczenie jak zwykle w sytuacjach, gdy ktoś niespodziewanie wyskoczy ponad poprzeczkę. Kłusownik dolał sobie ciut wódeczki. Myśliwy zacmokał. Nasz przyjaciel nie zwrócił uwagi na wrażenie, jakie wywołał. Widocznie ludzie z klasą nie dostrzegają taniego poklasku gawiedzi Więc znowu pokornie zwiesiliśmy uszy.

— Było i łowiectwo zwyrodniałe — opowiadał kłusownik — szczególnie w czasach saskich. Myśliwy stawał na bogato zdobionej ambonie, po czym wypuszczano zwierzynę. A on sobie z muszkietu, albo cisnął dzidą. Służący tylko broń podawał. Natomiast Batory zmarł w czasie polowania, Kazimierz Wielki złamał nogę na polowaniu. I to samo dzisiaj. Inaczej polują dewizowcy, inaczej tu obecny świeżo upieczony myśliwy. — Kłusownik wzniósł szarmancki toast. — W łowiectwie nie było i zapewne nie będzie równości, o czym świadczy używanie podczas polowań tytułów pozałowieckich. Czego na przykład nie ma w żeglarstwie.

— Uparł się, że woli kłusować — prawie z obywatelską troską powiedział myśliwy.

— Bo myśliwy nie przeżyje, jak dzikie zwierzę nie padnie od strzału. Nie wymawiając, ty też nie darujesz.

— Nic nie poradzę!

— Pewnie — zgodził się kłusownik. — Gdyby zaprzestać strzelania do zwierzyny, sarna by przyszła do ręki, żeby się popieścić. Dosłownie, one takie są. Jak w amerykańskim parku niedźwiedzie, by się dobierały do samochodów w poszukiwaniu cukierków. A co robią bażanty? Chowają się w porzeczkach po chłopskich ogródkach, bo nikt im tam dupy nie zawraca strzelaniem.

— Nie powiesz, że nie wyganiałeś bażanta z porzeczek?

— Wyganiałem. Więcej powiem, tyś go wydeptał, a ja go strzeliłem. Ale cały czas ci tłumaczę, co mnie drażni w traktowaniu myśliwstwa.

— No to czym jest dla ciebie kłusownictwo? — zapytałam, żeby na chwilę zaistnieć w rozmowie.

— Kłusownictwo to wyrafinowana forma łowiectwa. Doznania myśliwskie sączą się przez emocje nielegalności. Trzeba się kryć nie tylko przed zwierzyną, ale i przed człowiekiem. Kłusując, jesteś jednocześnie myśliwym i zwierzyną. Tu obecny pan myśliwy ma pewne doświadczenia z piżmakami. Stawiał sobie raz grzecznie żelaza pod urwistym brzegiem Wieprza...

— Z piżmakami to nie jest rozpowszechnione — wyglądało, że myśliwy chce zbagatelizować temat z przeszłości. — Wymaga dobrego sprzętu, rozeznania w piżmaczych zwyczajach i posiadania łódki.

— Stawiał sobie wyżej wzmiankowany żelaza przy Wieprzu, łapami w piachu grzebał — ciągnął jednak kłusownik — nagle słyszy: e, wyłaź. No to wzmiankowany odepchnął się wiosełkiem. Jednakowoż okazało się że myśliwych jest dwóch, a poza tym dwóch na drugim brzegu. Ale nawiał im.

— A pamiętasz, jak sprawiliśmy sobie wabika na lisy? — myśliwy plasnął się w udo. — Wabik naśladuje kniazienie zająca, czyli ostatnie tchnienie. Przypomina płacz dziecka przejmujący serce, a duszę lisa to w ogóle zniewalający.

— Ten to ma do lisów cierpliwość — pokręcił głową kłusownik. — Całą zimę przestał pod krzakiem.

— No więc razu jednego zawabiłem — powiedział myśliwy, wówczas jeszcze kłusownik. — Odczekałem chwilę i w samą porę usłyszałem trzask gałęzi. Zdążyłem parę kilometrów przelecieć, zanim się ocknąłem i wsiadłem w autobus ze strzelbą pod kapotą.

— Opowiem ci moje pierwsze polowanie pośród legalnych myśliwych — zagadał dla odmiany kłusownik. — Był potrzebny dzik na rejs jachtem i liczyła się każda strzelba. A dziki chodziły do kukurydzy. Siedliśmy tak, żeby idąc do kukurydzy dziki musiały przejść przez ściernisko. Ja znalazłem sobie wgłębienie w suchej trawie i zająłem pozycję taką, jak lubię — tu kłusownik wstał z krzesła, usiadł na podłodze po turecku i z godnością wodza Siuksów przyłożył do ramienia wyimaginowaną broń. — Naraz patrzę, wlecze się jakaś łajza w gumiakach przez ściernisko. Też myśliwy, dobrze, siadł gdzieś pod drzewem. Czekamy, noc coraz głębsza, wreszcie wychodzą. I idą. Miałem lornetkę: dwie lochy, a między nimi rząd warchlaków. Strzelać nie mogę, bo mam dubeltówkę z breneką, która bije celnie góra na czterdzieści kroków. One były gdzieś na sto metrów, choć w nocy wydaje się dalej. Stanęły. Jak szły, tak węszą. A ja przyszykowany. Potarcie kolbą o odzież i dzika nie ma. Cichutko, delikatnie opuściłem strzelbę, spokojnie sobie czekam. Nagle one w lewo zwrot i poszły na las. Po chwili usłyszałem za sobą szuranie w krzakach i ta łajza pyta: dlaczego pan nie strzelał? Za daleko na brenekę, mówię, ale myślę, co się mogło stać? I wymyśliłem. Łajza lazła po polu i zostawiła ślad. Dzik wyczuwa pędraki kilkanaście centymetrów pod ziemią, co to jest pędrak, ileż on tego zapachu wydziela?

— Cóż dopiero gumiaki? — myśliwy zbagatelizował żal kłusownika za straconą okazją. — Urok polowania jest wtedy, gdy człowiek zostanie sam na sam ze zwierzyną — najwyraźniej zaczął ulegać wspomnieniom. — Musisz się natrudzić, namarznąć albo znając zwyczaje, podchodzić. Dobry myśliwy prowadzi bonzę na konkretnego zwierzaka. Na dziki to nie, ale na sarny, jelenie — tak. Znasz każdego osobiście... A idź, baranie w las, z podchodu — niespodziewanie obruszył się na myśliwego z awansu, zwanego również mięsiarzem, któremu bardziej w głowie szpan i finans niż imponderabilia omawiane przy resztce starowinu. — Rusz zwierza z barłogu, podejdź w dzień, i strzel! Wtedy będziesz cwany. Tylko, że u nas na dziki idzie się wyłącznie z nagonką — zakończył z takim smutkiem, jakby ostatni lis dał się rozstrzelać bonzie podczas bankietu z bigosem. — Co, oczywiście, nie oznacza — zmitygował się — że każdy, kto poluje na grubą zwierzynę, jest draniem, ani że każdy kłusownik to zbrodniarz.

Anna Bocian

Co zagraża kulturze zachodnioeuropejskiej?

W TOCZĄCEJ się w kręgach postępowej inteligencji zachodniej dyskusji na temat perspektyw kultury europejskiej zabrał głos znany pisarz angielski James Aldridge, autor m.in. tłumaczonych w Polsce powieści „Dyplomata" i „Łowca".

— Człowiek inteligentny stara się przede wszystkim przyswoić sobie swą narodową kulturę. Lecz, nie zadowalając się tym, poszerza swój intelektualny horyzont o wartości, które proponują mu inni. Tak więc Szekspir jest w równej mierze własnością Anglii, jak i całego świata. Podobnie Beethoven, Tołstoj i wielu, wielu innych — stwierdza Aldridge.

Palącym i budzącym niepokój problemem krajów zachodnioeuropejskich jest niski poziom powszechnej oświaty. W Anglii dziecko z rodziny robotniczej ma bardzo nikłe możliwości otrzymania średniego wykształcenia, a tym bardziej wstąpienia na studia wyższe.

Odsunięcie prostych ludzi od prawdziwej kultury pogłębia jeszcze ekspansja tzw. subkultury. Pesymizm, cynizm, przemoc, różnego rodzaju skandale i afery, pornografia — wszystko to wali się na czytelnika gazet, z małego i dużego ekranu we wszystkich krajach Zachodniej Europy. I tu trzeba wyraźnie powiedzieć: przytłaczająca większość tego rodzaju „produkcji", szczególnie w telewizji, importowana jest z USA. Chciałbym jednak zastrzec, że oczywiście, nie wszystkie amerykańskie wpływy na kulturę europejską były negatywne. Niegdyś Europa odniosła wiele korzyści z przyswojenia sobie chociażby dzieł znakomitych amerykańskich pisarzy. Wciąż aktualne jest pytanie, dlaczego amerykańska „Massculture" tak głęboko potrafiła wniknąć w życie krajów zachodnioeuropejskich? A odpowiedź jest chyba taka: Ameryka jest nie tylko w stanie zostawić daleko w tyle każdy kraj zachodnioeuropejski pod względem rozmiarów tej swojej masowej „produkcji", lecz także organizować natychmiastowy jej zbyt. Jest to po prostu kwestia ogromnych możliwości finansowych.

Ale ten obecny zalew amerykańskiej pseudokultury to jeszcze nic w porównaniu z tym, co niesie nam niedaleka przyszłość. Stoimy w obliczu groźby pojawienia się transatlantyckiego systemu stałej kosmicznej łączności telewizyjnej z wykorzystaniem sputników. Wówczas nastąpi nowy etap amerykańskiej inwazji do naszej europejskiej kultury.

Jednak, jakkolwiek byłyby niszczące skutki polityki izolowania krajów Zachodniej Europy od źródeł ich bogatej kultury, biedną one wobec innych, znacznie groźniejszych perspektyw, narzucanych nam przez obecną administrację waszyngtońską. Nie zadowala się już ona sferą spektakularno-propagandowych oddziaływań. Idzie znacznie dalej, grożąc katastrofą wojny nuklearnej. Naiwna wiara Pentagonu w „ograniczony zakres" tej wojny w Europie, produkcja broni neutronowej, plany rozmieszczenia skrzydlatych rakiet na ziemi europejskiej — wszystko to stwarza najwyższe zagrożenie nie tylko dla europejskiej kultury, lecz i dla samego życia na całym kontynencie.

(gk)

SRODOWISKO LUBELSKIE (6)

Firma „Słoń"

Mirosław Derecki

JAKO człowiek „bywały" na lubelskich scenach i scenkach, zostałem w początkach 1960 r. przyjęty do grona stałych współpracowników firmy „Słoń". Tak popularnie nazywano w środowisku aktorskim chałturniczą „inicjatywę prywatną" Tadeusza Prochowskiego, występującą oficjalnie pod hasłem „audycji szkolnych". Zadaniem owych „audycji" było „krzewienie kultury literackiej i teatralnej wśród młodzieży w głębokim terenie" — jak przynajmniej twierdził nasz pryncypał. Kto patronował temu kulturalnemu przedsięwzięciu, do dzisiaj pozostaje tajemnicą.

Kiedy dołączyłem do ekipy, firma „Słoń" znajdowała się w pełnym rozkwicie, mając od szeregu lat doskonale rozpoznany, opanowany i właściwie „zrobiony" teren, wyeliminowawszy skutecznie wszelką konkurencję, która mogłaby w jakimkolwiek stopniu zagrażać istnieniu firmy. Poruszaliśmy się szybko i bezbłędnie po miastach i miasteczkach, wsiach i przysiółkach Lubelszczyzny, wszędzie tam, gdzie istniały szkoły i gdzie tylko zdołała dotrzeć nasza szara „Warszawa" — gaźbus, wynajęta taksówka, prowadzona niezawodną ręką pana Tadzia — „Dziesiątki". Jeździło się w ekipach czteroosobowych: obok kierowcy — Prochowski, przyciśnięty do siedzenia pudłem ogromnej harmonii, z tyłu — piosenkarka albo piosenkarz i recytatorzy. Wyjazdy były jedno, dwu — a czasem nawet trzydniowe, gdy wybieraliśmy się w powiat bialsko-podlaski albo hrubieszowski, szef płacił za noclegi. Wyżywienie — we własnym zakresie. Dawaliśmy dziennie pięć do sześciu „koncertów", płatnych po sześćdziesiąt złotych od sztuki „na łeb", gaża — wypłacana każdego wieczora, w brzęczącej monecie. Co nie jest żadną przenośnią: uczniowie płacili za wstęp 2 złote, więc przywoziliśmy z „objazdu" całe torby bilonu. Następnego dnia bilon ten wymieniałem na banknoty w „zaprzyjaźnionej" mleczarni przy ul. Narutowicza. Dwie miłe panie w białych fartuchach spoglądały zawsze na mnie z mieszaniną zaciekawienia i podejrzliwości: na dziada spod kościoła byłem za młody...

* * *

Tadzio Prochowski był postacią tyleż malowniczą, co niecodzienną. Szczupły, o lekko falujących szpakowatych włosach, obdarzony ciepłym, przyjemnym głosem, „miękki" w obejściu, zawsze ubrany w stalowo-szary garnitur, reprezentował typ „przedwojennego" klezmera-estradowca. Istotnie, na estradzie potrafił prezentować się doskonale, a porywał swoją grą. Nie wiem, czy kiedykolwiek skończył jakąś szkołę muzyczną. Niektórzy twierdzili, że gra tylko ze słuchu. Jeśli tak było istotnie, to „Prochazka" miał rzeczywiście talent fenomenalny. Obdarzony absolutnym słuchem, posiadał również niezwykłą pamięć muzyczną: wystarczyło zanucić jakąś melodię, aby po chwili Tadeusz już ją grał — jak z nut — na swej wspaniałej, trzyrzędowej, wykładanej białą masą perłową włoskiej harmonii. Mieszkał przy ul. Kołłątaja (na parterze, nad lokalem, gdzie dzisiaj znajduje się kwiaciarnia) wraz z wiekową Mamusią. Był przez nią trzymany krótko. W wypadkach szczególnych, gdy Tadeusz zbyt długo przeciągał swoje alkoholowe peregrynacje (co w sposób oczywisty odbijało się na akcji „krzewienia kultury" w szkołach), a żadne rodzinne ani koleżeńskie perswazje nie pomagały, Mamusia sprowadzała na pomoc ojców Kapucynów z pobliskiego klasztoru. Zakonnicy skutkowali bezbłędnie. „Prochazka" kajał się, bił w piersi i obiecywał solenną poprawę. Do następnego razu...

Jako młody chłopak trafił do Oświęcimia, przeżył tylko dlatego, że — jak nam opowiadał — przydzielono go do kommanda nazywanego „Kanadą". Zajmowało się ono sortowaniem bagażu ludzi przywożonych do obozu kolejowymi transportami. W walizkach i pakunkach zawsze znajdowało się trochę jedzenia...

Z obozu wyniósł Tadeusz jedno wielkie pragnienie: być wolnym zawsze i wszędzie! Nie dać się skrępować żadnymi nakazami, ograniczeniami i bzdurnymi przepisami. Bliskie takiemu ideałowi wydawało mu się życie artysty estradowego Człowieka, który nawet sceną własnego teatru nie jest ograniczony. Nauczył się grać na akordeonie, a potem ktoś go zaprotegował do lubelskiego „Artosu". Miał tam etat akompaniatora, a pozycję artysty-wirtuoza, gdy zaś sytuacja tego wymagała, to i tekścik jakiś humorystyczny palnął ze sceny. W owych latach każdy artysta estradowy robił to, na co go było stać i czego oczekiwała publiczność. A nie — bawił się w ceregiele z uprawnieniami, estradowymi specjalizacjami i artystycznymi weryfikacjami. Kiedy zaś nastały takie czasy, że zaczęto ludzi „zaszufladkowywać", Prochowski rzucił „Artos" i poszedł „na swoje".

Istota sukcesów firmy „Słoń" opierała się na wyznawanej przez Prochowskiego starej teatralnej zasadzie, że śmiech to zdrowie oraz pieniądze. Już Szekspir zdawał sobie sprawę, że nie można nużyć widza nadmierną liczbą trupów na scenie i dramatyczne napięcie trzeba przeplatać chwilami beztroskiego humoru. „Prochazka" poszedł dalej: do lejących się z estrady w jego „audycjach szkolnych" potoków mniej lub bardziej wyszukanego humoru, wprowadzał niewielkie krople poważnego nastroju. „Dzieci chcą, żeby je brzuchy bolały od śmiechu, a nauczyciele marzą o strawie duchowej wyższego rzędu" — powtarzał niejednokrotnie. „Trzeba jednym i drugim zapewnić radość obcowania ze sztuką. W związku z czym — dodawał, zwracając się do mnie — powiesz na wstępie „Testament mój" Słowackiego". Oponowałem, uzasadniając, że na widowni znajdują się akurat dzieci w wieku od siedmiu do dziewięciu lat, więc nic nie zrozumieją. Ale Tadeusz przerywał: „Coś tam jednak zapamiętają. O tym sercu spalonym w alcesie, na przykład. Dzieci lubią elementy horroru. I przyda im się na potem. A nauczycielom też się należy jakieś wzruszenie. Nawet dobrze by było, jak by sobie trochę popłakali... Zresztą, bez dyskusji! Na początek — „lektura", a dopiero potem wygłupy!"

Na takie dictum nic już nie miałem do powiedzenia. Więc podczas gdy dzieci gromadziły się w sali gimnastycznej albo w miejscowej remizie strażackiej (jeżeli była to duża „zbiorcza" impreza dla kilku szkół), my zabieraliśmy się do układania programu. Program uzależniony był od tego, kto będzie dzisiaj występował i jakim repertuarem dysponuje.

Nie każdy z aktorów mających akurat wolne „okienko" w teatrze — a więc mogący wyjechać na „audycje" — „sprawdzał się", według kryteriów Tadzia, przed dziecięcą widownią. Na przykład wybladłe „pierwsze naiwne" proponujące monolog Amelii z „Mazepy" czy smutne zawodzenia fragmentów „Beniowskiego" — nie tykając już Boże broń!, Norwida — traktowane były jako zapchajdziury robiące jedynie „tłumek" na estradzie. Ostatecznie przydawały się jeszcze jako tako na „koncertach" dla klas licealnych, ale takie imprezy dawaliśmy rzadko, opierając się głównie o „podstawówkę". Pamiętam, ile było kiedyś kłopotu ze Zbigniewem Czeskim, którego raz wzięliśmy nieopatrznie w objazd, nie sprawdziwszy uprzednio, że zdolny jest on ledwie wydukać: „Płacze pani słowikowa, w gąszczu przy akacji..." i to, w dodatku, mylac kolejność zwrotek. Gdybyż znał chociaż „Panią Twardowską"!

Najlepiej „szły" wiersze Brzechwy: można było w nich dowoli onomatopeizować, krzyczeć, wrzeszczeć, piać, kwiczeć ku uciesze dzieci i „grona profesorskiego". Takie na przykład „Dwa koguty kałakuty", albo „Pali się!" lub dydaktyczny utwór — „O Józiu brudasie", albo też rzecz o twardym orzechu do zgryzienia, jaki miał pan rejent ze Zwolenia...! Natomiast np. wiersz „Nie pieprz, Pietrze, wieprza pieprzem..." był uznawany we wszystkich szkołach Lubelszczyzny za literaturę dwuznaczną, wręcz niemoralną, i z tego powodu Prochowski już w zarodku tępił wszelkie próby przeszwarcowania go do programu.

Program zaczynał się zatem „lekturą". Następnie szło kilka „brzechw", w których celował Marian Drozdowski, oraz wesoła piosenka w wykonaniu Simony Włoch o wróbelkach. (Które jednakowoż mają w swych gniazdkach problemy, bo: gdy „przyjdą dzieci tu z miasteczka, to potłuką nam jajeczka"). Po tym wychodził na estradę Prochowski i grał polkę „Elektryczne schody". Ale najpierw jeszcze pouczał widzów, że ptaszki należy kochać, bo jest to element otaczającej nas przyrody, przedstawiciele fauny wyjadający z ziemi robaki i łapiące muszki, które, gdyby się przesadnie rozmnożyły, spowodowałyby zgubę ludzkości...

Po wstępie „Prochazki" wracaliśmy na chwilę do „lektur". Zwykle tę drugą turę literatury obowiązkowej załatwiał Henio Gońda albo „Chmielario". Obydwu cechowała prawdziwa kultura sceniczna, „brzechw" się wystrzegali. Tyle, że Andrzej Chmielarczyk zwykł był swój popisowy numer — „Jedzą, piją, lulki palą...!" — zaczynać zbyt dynamicznie. Kiedy wylatywał, jakby wystrzelony z katapulty na scenę, krzycząc „z waszecia" owe: „Jedząąą, pijąąą... !!!" — dzieci z pierwszych klas chowały się nieraz pod ławki lub zaczynały donośnie płakać. Prochowski w takich momentach był zachwycony: „Patrzcie, jak poprzez sztukę można oddziaływać na widza!"

Program kończyło zazwyczaj wspólne odpiewanie „Bardzo dobrej rzeczy". Była to piosenka, w której po każdym wersecie zaśpiewanym przez estradowego „wujka", następował refrenik: „bardzo dobra rzecz", powtarzany przez dzieci. Kiedy mali widzowie rozśpiewali się już w tekście, następowało nagle zupełnie nieoczekiwane zakończenie!

— A ja wam teraz frajdę zrobię — figlował na scenie „wujek".

— Bardzo dobra rzecz! — ryczały zachwycone dzieci.

— I za chwilę pójdę sobie...

— Bardzo dobra rzecz!!! — wyła z rozpędu widownia.

Po czym następowała ogólna konsternacja, okrzyki: „nie! nie! jeszcze nie koniec!", które zagłuszał „wujek Tadzio", rżnąc na wszystkich stu dwudziestu basach i trzech rzędach w wiolinie gromkiego marsza, sycząc przy tym do „zespołu" przez ramię: „Zbierać się, zbierać! Jeszcze są trzy audycje, jak się spóźnimy, to z ostatniej dzieci nam spłyną do domu!"

* * *

Sześć „koncertów" dziennie, przy przerzucaniu się z miejscowości do miejscowości odległych nieraz o kilkadziesiąt kilometrów, granie „na krzyku" w fatalnej akustyce, często w lodowatych remizach strażackich, które stawały się cieplejsze dopiero wówczas, gdy zostały ogrzane oddechami kilkuset dzieci, to był naprawdę morderczy wysiłek. Nie wiem, ile dobra, a ile zła wynikało z naszych imprez (które — trzeba pamiętać — robiliśmy, gdy nie było jeszcze na wsi telewizji), ale pieniędzy nie braliśmy za darmo. Oprócz zarobku ciągnął nas ów głuchy teren, ta młodzież łaknąca czegoś innego od szarzyzny codziennego dnia, cieszyły nas wymięte bukieciki kwiatów, które dzieci zbierały już od rana na przyjazd firmy „Słoń".

Czasami na owych Dzikich Polach ówczesnego życia kulturalnego, gdzieś pod Lubyczą Królewską, Sławatyczami lub Włodawą, mijaliśmy się z samochodem wożącym prywatny teatrzyk lalkowy Magdy W., w którym przez pewien czas zarabiał na życie jako aktor Piotr Szczepanik (nim spłynął na niego piosenkarski sukces), lub napotykaliśmy wystygłe tropy mikrobusu Filharmonii Lubelskiej, rozwożącej po szkołach skrzypków i wiolonczelistów z mikro-kameralnymi recitalami...

Pewnego razu wracaliśmy pod wieczór z trzydniowego objazdu w Hrubieszowskiem. Jechaliśmy na Zamość, i gdzieś między Werbkowicami a Hostynnem zauważyliśmy wielką gromadę ludzi stojących przy szosie. Była też chłopska konna banderia, „banderia rowerowa" z powplatanymi w szprychy kół białymi i czerwonymi taśmami karbowanej bibuły, a także — dwa wasągi umajone zielonymi gałęziami i zaprzężone w wyczyszczone do połysku, najpiękniejsze w całej okolicy, gniadosze. Okazało się, że objeżdżał diecezję biskup Kalwa i tutaj, na granicy parafii, miał przesiąść się ze swego moskwicza na wóz. Gdy samochód biskupa pojawił się w polu widzenia, stary chłop, dowódca banderii, ryknął: „Na kooońńńii!!!" takim głosem, że stanął mi jak żywy przed oczami cały 2 pułk strzelców konnych z Hrubieszowa pod pułkownikiem Niementowskim, szykujący się do defilady.

Nie to jest jednak najistotniejsze. Otóż Prochowski wyłowił wówczas z tłumu młodą, przystojną dziewczynę, z którą — jak to u niego bywało — błyskawicznie „zapoznał się". Była nauczycielką, niedawną absolwentką Studium Nauczycielskiego w Lublinie. Mieszkała nie opodal, państwo wynajmowało jej pokoik „przy rodzinie", w drewnianej, krytej strzechą chacie. Dwadzieścia parę lat temu pełno było jeszcze takich chat na Lubelszczyźnie. Tadzio lubił się bawić. Gospodarz przyniósł ze sklepiku dwie butelki wódki, jego żona zrobiła jajecznicę z trzydziestu jaj. Jedliśmy i pili, śpiewaliśmy na głosy razem z gospodarzami, Tadzio Prochowski grał na harmonii, Heniek Dłużyński — na gitarze. A ta dziewczyna cały czas płakała. Na etażerce za jej plecami leżała kupa zeszytów „do poprawienia", kilka książeczek, jakieś wyświechtane tomiki nic nie mówiącej poezji... Potem zaczęliśmy się żegnać. Bo już zrobiło się bardzo późno, zachodziło słońce za stodołą i trzeba było wracać do Lublina. Kiedy wsiadaliśmy do „Syrenki" Heńka, nauczycielka dalej płakała.

Nieraz, kiedy wspominam lata współpracy z firmą „Słoń", myślę również o tej samotnej dziewczynie — nauczycielce. Co się z nią stało? Jak się potoczyło jej życie? Czy pamięta tamten wieczór?

ŁAJDAK

Adolf Lekki

KRYSTYNA próbowała walczyć o moje uczucia, ale wybrała złą drogę, chciała mnie zmienić — zamiast zmieniać siebie. W początkowym okresie rozluźnienia naszego pożycia śledziła każdy mój krok, prześladowała w biurze, kawiarni, odnajdywała mnie nad Przemszą, w której usiłowałem złowić rybkę.

— Nie kochasz mnie, już mnie nie kochasz — biadoliła, wylewając łzy, a kiedy tych brakowało, rzucała się na mnie z pięściami: — Ja ci tego, draniu, nie daruję, zdradzę cię z pierwszym lepszym — groziła.

— Pamiętaj, żeby to był ten lepszy — radziłem jej. — I nie odwlekaj zdrady.

Biedna kobiecinka zakochana w synku, garnkach, szmatkach, bez żadnego polotu, z jednym pragnieniem, by utrzymać mnie przy sobie. Daremnie.

W trzy lata po założeniu kajdan małżeńskich spotkałem Helenę. Spotkanie było przypadkowe, jak wszystko, co poprzedza nieszczęście.

— Świetnie wyglądasz — powitałem ją komplementem, który był zresztą prawdziwy. Od czterech lat, kiedy z nią zerwałem, niemal się nie zmieniła. Zachowała świeżość cery, roześmiane oczy, ruchy sportsmenki.

— A ty się postarzałeś.

— Czas nie stoi w miejscu.

Znałem ją dość dobrze z dawnych spotkań. Zawsze miała przewrócone w głowie na punkcie ważności swej płci i widocznie nie zdołała się pozbyć tego fioła.

Tego wieczoru siedzieliśmy w moim pokoju przy zastawionym stole. Krystynę z synem zamknąłem w sypialni, byliśmy sami i uczyniłem wszystko, by moje postępowanie nie było „karygodne".

Helena nie jest podobna do Krystyny ani z wyglądu, ani z charakteru. To nie poddanka błagająca pana o łaskę, lecz pani żądająca posłuszeństwa od poddanego. Miałem jej dość po kilku dniach. Ale łatwiej ją było wprowadzić w dom, niż wyprosić. Nie obyło się bez awantury.

Trzeba będzie z samego rana zadzwonić do Rudolfa. Kawał łajdaka, ale równy gość. Oby mnie znów nie wykorzystał. Jak on to klawo załatwił ostatnim razem. Doprowadził do tego, że późną nocą wprowadziłem go do własnego domu w towarzystwie dwóch znajomych kobiet. Krystynę, jak zwykle w podobnych przypadkach, zamknąłem w sypialni. Nie protestowała. Do wszystkiego można przywyknąć.

... Krystyna nie wie, że przyjadę. Gdybym tak otworzył drzwi własnym kluczem, na palcach wszedł do sypialni i zastał ją w łóżku z innym. Śmiech nawet myśleć w ten sposób. „Zdradzę cię z pierwszym lepszym" — wykrzykiwała niegdyś i co? Nawet na to za głupia.

... z samego rana muszę zadzwonić do Rudolfa, muszę zadzwonić do...

Krystyna, wiedziona jakąś dziwną intuicją, czekała na mnie w pokoju. Ubrana w niebieski szlafrok, włosy wyczyszczone do połysku, pachniała szamponem i dobrym mydłem toaletowym. Podniosła się na mój widok, przycisnęła dłonie do serca.

— Karol! Wiedziałam, że dzisiaj przyjedziesz.

— Skąd wiedziałaś? — zapytałem sucho.

— Przeczucie.

— Zbyszek śpi jeszcze?

— Tak. Zjesz śniadanie? Przygotuję twoje ulubione jajka na boczku.

— Jestem po śniadaniu. Zjesz sama — przeszedłem do swojego pokoju, zdjąłem marynarkę, starannie rozwiesiłem ją na poręczy krzesła. Żona przyszła za mną. Stanęła obok stołu, patrzyła na mnie długo z nadzieją, niepokojem.

— Nie pocałujesz mnie na powitanie?

— Idź do kuchni — odparłem ostrzej niż zamierzałem. — Idź, na co czekasz? — dodałem widząc, że ani drgnęła.

— Jeśli nie masz dla mnie ani trochę przyjaźni — powiedziała cicho — to przynajmniej przestań mnie prześladować. Dopóki miałam nadzieję odzyskać twoją miłość, wiele ci wybaczyłam. Teraz proszę o jedno: nie rób więcej z naszego domu burdelu. Zbyszek dorasta, wszystko rozumie, ja... ja jestem już na granicy szaleństwa.

— Chcesz rozwodu?

— Co to załatwi? Dziecka nie podzielimy przez pół.

— Zbyszek zostanie ze mną.

— Z tobą... — pokiwała z politowaniem. — Ty sam nie wiesz, na jakim świecie żyjesz i co ci jutro przyniesie.

— Więc zostanie z tobą, a ja będę na niego płacił. Chcesz tak?

— Za późno.

— Więc idź do kuchni i zostaw mnie w spokoju.

Po tej odprawie przez pewien czas czułem przygnębienie, które zmieniło się w złość. Dlaczego ona mnie zmusza do zmiany stylu życia? Nie mogę jej kochać, wie o tym od lat, więc powinna się przyzwyczaić, a przynajmniej pogodzić. Czy to moja wina, że jest tak, jak jest?

Przed samym sobą musiałem przyznać: prawda, proponowałem jej rozwód i to wielokrotnie, lecz nigdy szczerze, toteż zadowolony byłem z odmowy. Dla takiego, jak ja, pracującego ciągle w terenie, było sprawą ważną posiadanie choćby namiastki domu rodzinnego. Nie bez znaczenia była także pewność, że syn jest pod dobrą opieką i nic mu nie brakuje.

Z Jadwigą spotkałem się późnym popołudniem w małej kawiarni i tam zszedł nam czas do wieczora. Rozmawialiśmy o najróżniejszych sprawach, ciągle od nowa przekonywałem się o jej wysokiej inteligencji, o poważnym stosunku do życia. Nie przyjęła zaproszenia do mego domu, złym zdrowiem matki wymówiła się od zabrania mnie do siebie. Mimo to byłem zadowolony. Wypocząłem w jej towarzystwie, odświeżyłem myśli, uspokoiłem nerwy.

— Muszę ją spotkać jeszcze raz — postanowiłem — pójdę do biblioteki. Nie możemy poprzestać na dotychczasowej, krótkiej znajomości.

Stał przy oknie zamyślony, nadspodziewanie poważny. Sądziłem, że będzie mnie namawiał do kolejnej eskapady, że znów zaplanował jakieś łajdactwo.

— Jedziesz z nami do Łęcznej? — zapytałem, aby coś powiedzieć.

— Początkowo nie chcieli pozwolić, dziś uległo to zmianie. Widocznie dyrektor woli mnie widzieć z daleka, niż u swego boku. Dojadły mu moje wątpliwości. No, dosyć na dzisiaj o sprawach służbowych. Zrobimy wieczorem jakiś wypad?

Jeszcze przed chwilą nie poznawałem Rudolfa, teraz wrócił do swojej właściwej skóry. Znów miałem przed sobą niepoprawnego hulakę, hedonistę, babiarza. Znów jego łajdacka natura przyszła do głosu.

— Odpadam — oświadczyłem stanowczo. — Mam zajęte całe popołudnie i wieczór.

— Ulegniesz roześmiał się. Na krótko zawitałeś w rodzinne strony, więc należy uczynić wszystko, by zachować o nich miłe wspomnienia. Jak się miewa Krystyna?

— Jak zwykle. Cześć!

— Nie żegnam się, bo nasze spotkanie wieczorem to pewnik — powiedział autorytatywnie.

— Co robisz na moim podwórku? — nie czekając na odpowiedź podszedł do bibliotekarki, zaczął całować jej dłonie. — Dzień dobry, Jadziu. Jak się miewasz? Co słychać? Wczoraj wieczorem zachodziłem do ciebie i daremnie. Gdzie byłaś?

— Za dużo pytań — oswobodziła ręce. — Znacie się panowie?

— Z Karolem? — Reszka parsknął śmiechem. — Kopę lat, a wy się także znacie?

— Tak — potwierdziłem sucho, zły jak sto diabłów na jego bezceremonialność.

— Równy chłop — Rudolf objął mnie w pasie. — Musimy się dzisiaj zabawić. Ty kończysz pracę o piętnastej — wskazał paluchem Jadwigę — ty jesteś już wolny — wycelował we mnie. — Spotkamy się kwadrans po piętnastej.

U niego wszystko było proste, nie dopuszczał sprzeciwu, nie przewidywał przeszkód. Miałem ochotę pokazać, gdzie może mnie pocałować, zamiast tego burknąłem potulnie:

— Dobrze. Gdzie się spotykamy?

— Przyjdź do „Przystani", tam nas zastaniesz.

— Dobrze.

Powinienem był spędzić to popołudnie z Krystyną, ze Zbyszkiem, zaprowadzić ich na ciastka, może do kina. Uległem Rudolfowi, i nie ma co ukrywać, zrobiłem to, by być blisko Jadwigi.

Zjedliśmy obiad, wypili po kieliszku koniaku. Lokal nam nie odpowiadał, karmili dobrze, ale towarzystwo było poniżej naszego poziomu. Podczas rozmowy na temat jakości różnych lokali wpadłem na myśl:

— Nie warto się włóczyć po knajpach — celowo użyłem takiego właśnie określenia. — Kupimy po drodze napoje, słodycze i co tam jeszcze potrzebne, pójdziemy do mnie.

— Jak nas przyjmie pani Tomeczkowa? Może ma inne plany na resztę dzisiejszego dnia?

— Ona tam nie ma nic do gadania — wyręczył mnie Rudolf. — Karol ma swój pokój, jest jedynym jego właścicielem i dysponentem.

— To prawda? — zwróciła się do mnie.

— Tak — potwierdziłem krótko. Przecież nie mogłem jej opowiadać, że ten pokój już niejednokrotnie gościł moich kolegów i koleżanki. Za pierwszym razem przeprosiłem Krystynę, szukałem jakiegoś usprawiedliwienia, potem przepędzałem ją za drzwi, z czym musiała się pogodzić.

— Jeśli tak — zadecydowała Jadwiga — to zgoda.

Krystyna usłyszała nasze kroki na schodach, wyszła do przedpokoju, zobaczyła obce twarze, więc umknęła do kuchni. Tak powinno być. Pani Jadwiga była nieco zdziwiona zachowaniem mojej żony, ale przekonałem ją, że to kobieta nietowarzyska, trochę zdziczała i jej miejsce jest przy garnkach. Zresztą sam byłem o tym tak bardzo przekonany, że poszedłem do kuchni i poleciłem Krystynie przygotować trzy kawy.

— Przygotuj także zakąski, podaj kieliszki do koniaku i wina. Pośpiesz się.

— Kogo znów przyprowadziłeś?

— Nie twoja sprawa. Rób swoje.

Zrazu rozmowa się nie kleiła. Pani Jadwiga często spoglądała na drzwi, jak gdyby czekała na powrót Krystyny, która, po zastawieniu stołu, odeszła bez słowa, Rudolf często nalewał w kieliszki, mieszając koniak z winem, ja czekałem, co z tego wyniknie, jak się zachowają moi goście po opróżnieniu kilku butelek.

— Wypijmy — zaproponował Rudolf — bo wkrótce, jak to mówi piosenka: „razem nie będzie nas".

— Lubelszczyzna — to nie koniec świata, nie wyjeżdżacie tam po śmierć — powiedziała pani Jadwiga.

— A kto tobie mówił o naszym wyjeździe? Karol, słyszysz? Wróg nie zasypia gruszek w popiele, wie o każdym naszym kroku.

— Ja powiedziałem o tym pani Jadwidze — przyznałem. — Nie widzę w tym żadnej tajemnicy państwowej.

— Ale jest tajemnica prywatna! — Rudolf był już trochę pijany. — Chciałem zniknąć sprzed jej oczu, zaszyć się w głuszy, przepaść bez wieści. Niechby „roniła łzy", stała przy okienku, szukała moich śladów. Moich śladów, słyszysz? — parsknął śmiechem. — Musiałaby codziennie chodzić od knajpy do knajpy. Dobre, co?

— Nie rób przykrości pani Jadwidze — powiedziałem, widząc jej grymas. — Twoje żarty bywają...

— A bywają, bywają, dlaczego ty ciągle: „Pani Jadwiga", „Pani Jadwidze". Co tutaj jest? Wersal? Jadziu zaproponuj mu brudzia.

— Co pan na to? — uśmiechnęła się do mnie.

— Czekam.

— A więc... — napełniła dwa kieliszki winem, ale Rudolf odsunął je, podał nam koniak.

— Wino jak miłość — krzyknął. — Im starsze, tym kwaśniejsze, tylko przyjaźń jak miód, im starsza, tym mocniejsza. Nie mamy miodu, niech go zastąpi koniak!

Zadrżałem przy pocałunku jak młodzik, Rudolf klaskał, cieszył się nie wiedzieć z czego.

— Jadwiga.

— Karol.

— Się nie martw, Jadziu. Wielkim on nie zostanie, nie te pióra i nie ten umysł.

— Dlaczego się do mnie przyczepiłeś? — zajrzałem Rudolfowi w oczy.

— Bo nie umiesz żyć jak należy. Wszystko przychodzi ci z trudem. Jadziu, uwierz mi, on dawno powinien awansować o kilka grup, mieć przynajmniej komandorski, a dlaczego nie ma? Bo nie ma przyjaciół, prawdę powiedziałem?

— Ciebie uważam za przyjaciela.

— Ja komandorii nie rozdaję, za ciężko żyję. Szukaj przyjaciół wśród takich, którzy o tym decydują.

— Dla nikogo życie nie jest lekkie prócz tych, którzy się przez nie prześlizgują.

— Właśnie dlatego szukaj wśród nich przyjaciół.

— Pani Jadwigo...

— Co? — pytanie osłodzone uśmiechem.

— Jadziu, nie słuchaj go. Wypił za dużo, choć końca zabawy jeszcze nie widać.

— Nie wypiłem za dużo, a jeśli chodzi o zabawę, to zaledwie ją zaczynamy. Pobawimy się potem w Łęcznej, a zakończymy wesele w kryminale.

— Głupstwa pleciesz.

— Co ci przychodzi do głowy? — zaniepokoiła się Jadwiga.

— Co mi przychodzi do głowy? — Reszka chyba udawał uprzednio pijanego, bo zaczął zupełnie logicznie: — Przejrzyj w pamięci listę pracowników wytypowanych na wyjazd. Są to nie tylko fachowcy wysokiej klasy, ale i ludzie nie odpowiadający naczalstwu z powodów, których wolę nie dociekać.

— Sam jesteś jednym z „naczalstwa" — burknąłem.

— Ja też wyjeżdżam, bo komuś nie odpowiadam.

— Moim zdaniem — powiedziała z namysłem Jadwiga — taki wyjazd, to wyróżnienie. Na dziewiczy teren nie posyła się partaczy.

— A na spartaczony teren wysyła się przyjaciół? Nie i jeszcze raz nie.

— Pleciesz bzdury, lepiej napełnij kieliszki, na tej robocie lepiej się znasz, niż na przepowiadaniu przyszłości. Jadziu, wybierz płytę według własnego gustu.

Tańczyliśmy z nią na przemian, raz ja, raz Rudolf, dużo piliśmy, atmosfera była ciepła, domowa. Około dziesiątej wieczorem zabawę przerwał nam spazmatyczny krzyk Zbyszka:

— Mamo! Mamo!

Goście zerwali się z miejsc. Uspokoiłem ich ruchem dłoni, wybiegłem do kuchni. Krystyna leżała na podłodze, z przeciętych żył sączyła się krew.

Fragmenty powieści pt.: „Gorzki smak kaczeńców".

40 ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM

Władysław Szlengel

ROZMOWA Z DZIECKIEM

Dziewięćset czterdziesty drugi rok.
Matka i dziecko. Warsztat — blok...
Dziecko twarz ma liliową,
matka włosy jak mleko,
powiedz mi, matko — pyta malec —
co to znaczy: d a l e k o...

Daleko, to znaczy za górami,
za lasami i za rzekami...
Daleko, to znaczy szyny...
Daleko, to morskie podróże,
okręty i przestwór siny,
i góry w słońca purpurze...
Daleko, to wyspy złote
i wonne wiatru podmuchy,
to jakaś soczysta zieloność
i piasek miękki i suchy.
Lecz jak wytłumaczyć dziecku,
co znaczy: d a l e k o...

Daleko — kochane dziecko —
(a łza się chybocze na rzęsach)
daleko to z bloku naszego
aż do bloku Többensa...

A powiedz, mamo kochana,
co to znaczy: d a w n o...
Dawno to wieczór miejski,
płonące lampy, neony...
to cichy spokój w mieszkaniu
i dobrze piec napalony...
Dawno — to ciastko z Ziemiańskiej
dawniej — to obiad przy radiu,
dawno — to rano „Nasz Przegląd",
a wieczór kino „Palladium".
Dawno — to miesiąc nad morzem
dawno — to zdjęcia z wycieczki
i ślubne zdjęcie z welonem,
i biały chlebek bez sieczki...
Lecz jak wytłumaczyć dziecku
tę przeszłość jasną i sławną,
gdy nic... nic przecież nie wie...
jak wytłumaczyć: d a w n o...

Widzisz, kochane dziecko,
stare i smutne za młodu,
dawno — to znaczy, gdy dawno...
nie przydzielano nam miodu...

A powiedz mi, mamo, powiedz,
co to, co słyszę nocą...
świat taki długi... daleki,
co to tak świszcze i po co...

Jak wytłumaczyć dziecku,
jaki wziąć przykład i motyw,
by wytłumaczyć nocny,
daleki świat lokomotyw...

Jak wytłumaczyć szyny
i długą drogę w bezkresy,
radość mknięcia w sleepingu
i oszalałe ekspresy.
Dworce, sygnały, zwrotnice,
nowe miasta, ulice,
bilety, przesiadki, bagaż,
kurier, bufet i tragarz.
Migot światełek nocą
i dymów liliowy ślad.
Jak wytłumaczyć... i po co...
że gdzieś jeszcze w dali jest świat...

Ten świat znaczy, chłopcze maleńki,
coś rączki żałośnie tak splótł,
że może być dalej niż Többens
i jeszcze dalej niż miód.

Jerzy K. Weintraub

ŚPIEW W ŚLEPYM ZAUŁKU

Wzdłuż pochyłych kamienic
czy to powiew tajemnic
wieje mroźny od zimowych gwiazd,
czy to tylko ich pozór
noc wyrzeźbia w kształt mrozu
i zaklina w fosforyczny blask?

Czy to kruki i wrony
po zaułkach zgarbionych
przebudzona śnieżyca tak gna,
czy, oparłszy się czołem
o lodowce szyb, wołam
w mrok bez twarzy i w czasy bez dna?

Kto tę młodość mi odarł
z wszystkich świerków i jodeł,
kolumnadą zstępujących z gór,
a żyć kazał w dniu trwogi,
gdzie błąkają się drogi
i gdzie z murem potyka się mur?

Te katedry zbyt wzniosłe,
szronem milczeń porosłe,
bym od siebie ku dzwonom się wzniósł,
te krużganki zbyt jasne,
bym w nie rzucił swą gwiazdę —
laur zwarzony zasępionych muz.

Brak mi lasów oddechu,
drzew kąpiących się w echu,
wszystkich moich porzuconych lat,
i choć od nich odszedłem,
jeszcze wabi mnie zmierzchem
płacz za szczęściem, jak zamarzły ślad.

Ale wołać daremnie,
gdy tak wieje przeze mnie
chłodna struga dopełnionych snów,
i w ciemności dotykam
zimnych szczątków pomnika
zarytego w ślepotę — jak nóż.

Stare M[illegible] 5 stycznia 1943

Janina Heszeles

BEŁŻEC

Jaki okropny to obraz:
pełen ludzi wagon,
w kącie kilka trupów,
wszyscy stoją nago.
Jęk zagłusza kół turkot,
skazaniec tylko rozumie,
co koło do niego mówi:
Na Bełżec! na Bełżec! na Bełżec!
Na śmierć! na śmierć! na śmierć!
Do Bełżca, do Bełżca, do Bełżca
po śmierć, po śmierć, po śmierć.
Jeśli chcesz żyć,
to skacz! to leć! to pędź!
Lecz zważ,
bo banszuc czyha na cię też.

Drugiemu skazańcowi szepce,
nie ujrzysz już matki swej więcej,
próżno płaczesz, próżno łkasz,
ojca nie zobaczysz,
bo koło na Bełżec cię gna —
na Bełżec, na Bełżec, na Bełżec!
Po śmierć, po śmierć, po śmierć!
Do Bełżca, do Bełżca, do Bełżca
na śmierć, na śmierć, na śmierć.
Pociąg zwalnia, przestaje tak biec,
z tysiąca piersi jęk się wyrywa,
pociąg do celu dobija,
świszczy lokomotywa:
Już Bełżec! już Bełżec! już Bełżec!

Z antologii „Poezja Polski Walczącej" pod redakcją Jana Szczawieja

Rys. Mariusz Rybicki

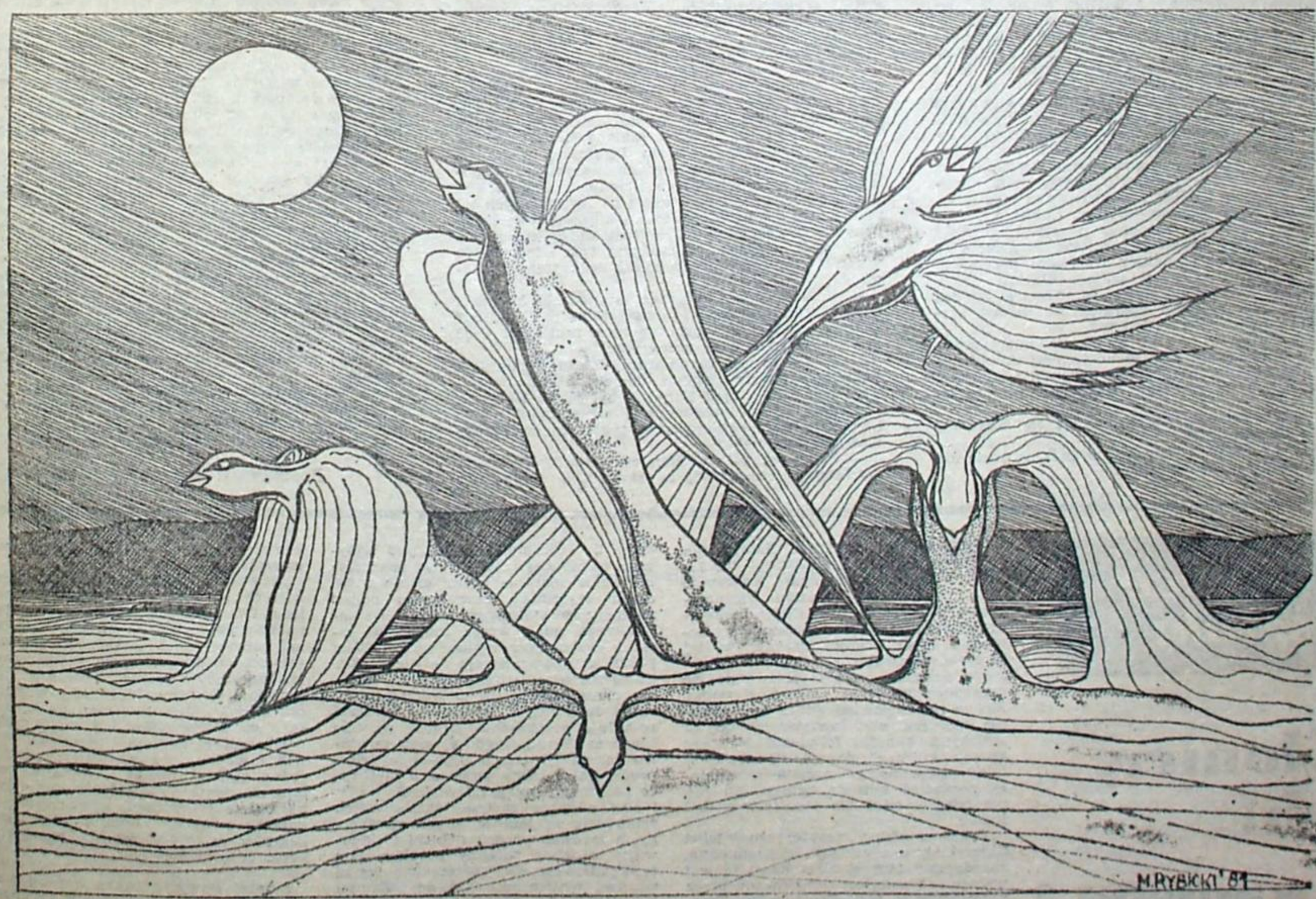

ROZMOWA ZE STEFANEM MATUSZEWSKIM

Dokończenie ze str. 1

gólniejszej i ważnej kwestii, znanej co prawda historykom, ale chyba nieobecnej w świadomości szerszych kręgów naszego społeczeństwa. Otóż Stalin zdawał sobie sprawę, że PKWN zostanie zaakceptowany przez ogół Polaków tylko wówczas, jeśli będzie faktyczną reprezentacją narodu. Znał on bowiem dobrze polskie uprzedzenia i fobie, wyrosłe na podłożu historycznym, jak i charakter podziałów istniejących wtedy w społeczeństwie. Tacy ludzie, jak Osóbka-Morawski czy Matuszewski, pepeesowcy działający przed wojną na szczeblu, rzec można, wojewódzkim, byli w roku 1944 szczególnie poszukiwani, bo uwierzytelniali narodowe barwy nowej władzy. Czasami dosłownie poszukiwani, jak to było w przypadku Andrzeja Witosa, brata słynnego Wincentego Witosa (międzywojennego premiera) który podczas wojny trafiwszy do Związku Radzieckiego, jako indywiduum niepewne politycznie, bo o biografii skażonej „kułactwem", pracował w lasach. Tam go odnaleziono, zapraszając do udziału w ZPP a potem w PKWN.

— *Jak widać, w polityce...*

— ... w polityce liczą się realia, a nie marzenia i sentymenty. Jeśli ktoś nie pojął tej prawdy, niech nie zabiera głosu w sprawach politycznych, bo w przeciwnym przypadku napyta biedy sobie i innym. Tak pojmowany realizm nie ma przy tym nic wspólnego z permanentnym przekreślaniem tych wartości i celów, które ktoś uznał za fundamentalne dla własnej wizji świata czy państwa. Obowiązuje on wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi określenie metod, taktyki i strategii politycznego działania. Oczywiście, aksjologię i metodologię rozdziela się łatwo w planie teoretycznym, w praktyce natomiast obie te sfery przenikają się, a nierzadko implikują. Przyszłą Polskę członkowie PKWN widzieli jako kraj wolny, suwerenny, demokratyczny i ludowy, ale schodząc na grunt konkretów spierali się ostro np. w kwestii reformy rolnej, która w kształcie proponowanym przez PPR nie zyskała aprobaty u Witosa. A on właśnie, jako szef odpowiedniego resortu, miał ją realizować. Ostatecznie Witos musiał opuścić stanowisko, które jako jeszcze jedno objął tymczasowo Osóbka-Morawski: przewodniczący PKWN i kierownik Resortu Spraw Zagranicznych.

— *Był pan w tym czasie sekretarzem generalnym PPS, więc proszę powiedzieć, czy między waszą partią a PPR nie dochodziło do kontrowersji politycznych?*

— Nie. Polemiki i spory toczyły się natomiast wewnątrz PPR, gdzie zarysowały się dwa skrzydła: „internacjonalistyczne" (Bolesław Bierut, Jakub Berman, Hilary Minc, Roman Zambrowski i inni) oraz „nacjonalistyczne", skupione wokół Władysława Gomułki, który pojawił się w Lublinie na początku sierpnia. My, socjaliści, nie uświadamialiśmy sobie wtedy skali rozbieżności w PPR. Głębokie kontrowersje występowały zresztą i w łonie PPS. Lewica partii opowiadała się za programem kształtowanym przez nas w Lublinie, ale prawdą pozostaje, że niemal cały przedwojenny aktyw PPS przebywał na Zachodzie, budując platformę polityczną rządu londyńskiego w postaci tzw. WRN. W ogóle sytuacja była wielce skomplikowana. Oto na przykład kierownik Resortu Pracy, Opieki Społecznej i Zdrowia PKWN, a zarazem pierwszy przewodniczący Rady Naczelnej PPS w Lublinie, znany lewicowiec Bolesław Drobner podzielał niechęć WRN do bliskiej współpracy z PPR. Wspomnę, że wypowiedzi Drobnera, który wcześniej przebywał w ZSRR, mocno irytowały samego Stalina.

— *Czy w okresie lubelskim mówiło się już coś na temat ewentualnego zjednoczenia dwóch największych partii polskiej lewicy?*

— Skądże znowu! PPR pomagała nam nawet w rozwijaniu organizacji, w większości uzbrojonej i umundurowanej, kierując do instancji i komórek PPS dawnych jej członków, odnajdywanych w terenie.

— *Panie ministrze, jak znajdował się Bierut w kontaktach z ludźmi?*

— Był delikatny, kulturalny, w żadnym razie nie apodyktyczny i despotyczny.

— *A Gomułka?*

— Przeciwnie!

— *Osóbka-Morawski?*

— W tym czasie ujmował skromnością.

— *Jak określiłby pan ówczesny stosunek społeczeństwa polskiego do sojusznika ze wschodu?*

— Jako przyjacielski.

— *Czy kierując wiadomą instytucją nie odczuwał pan konkurencji ze strony Resortu Kultury i Sztuki, którego szefem był Wincenty Rzymowski „znany w międzywojniu działacz demokratyczny i publicysta?*

— Tym resortem faktycznie kierował Jan Karol Wende, zastępca Rzymskiego, ponieważ ten ostatni, przebywający w czasie wojny w Krzemieńcu, dość kiepsko, przynajmniej w początkach urzędowania, orientował się w założeniach i treściach nowej polityki kulturalnej. Jeśli zaś chodzi o pierwszą sprawę, to przypomnę tylko, że pod względem tzw. bazy lokalowej i liczebności personelu my byliśmy górą. Kultura dysponowała bodaj czteroma pokojami w gmachu PKWN przy ul. Spokojnej (dziś 22 Lipca), podczas gdy nasz resort posiadał ich znacznie więcej: w tymże budynku i w obiektach rozrzuconych po mieście, choćby przy Krakowskim Przedmieściu 62, gdzie znajdowała się m.in. redakcja „Rzeczypospolitej", organu PKWN.

— *Na ścianie pańskiego mieszkania, w którym rozmawiamy, wisi duża fotografia z 31 grudnia 1944 roku, przedstawiająca Rząd Tymczasowy. Czy pamięta pan, kto wykonał to zdjęcie?*

— Chyba Aleksander Ford... Mam jeszcze przed oczyma majora, jak melduje się w resorcie, któremu podlegała kierowana przez niego Czołówka Filmowa WP. W różnych odstępach czasu meldowali się u nas inni szefowie instytucji informacyjno-propagandowych: Zofia Marchlewska, córka Juliana, odpowiedzialna za działalność Agencji Prasowej „Polpress", czy Wilhelm Billig, który również przybywszy z Moskwy, został dyrektorem naczelnym Polskiego Radia. Przy okazji pozwolę sobie zauważyć, że pierwsze przemówienie via mikrofon, w imieniu PKWN skierowane do Polaków w kraju i na obczyźnie, wygłosił właśnie Matuszewski, korzystając z radiostacji „Pszczółka", ulokowanej, jak wiadomo, w wagonie kolejowym, który stał na bocznicy lubelskiego dworca, prowadzącej w kierunku Kraśnika.

— *Często zapewne kontaktował się pan z Jerzym Borejszą, naczelnym „Rzeczypospolitej" i prezesem „Czytelnika"...*

— Naturalnie. Borejsza był niejako dyrektorem departamentu w ramach naszego resortu, no i podlegał jego kierownictwu.

— *Czy ten twardy publicysta przedwojennych lwowskich „Sygałów", autor bulwersujących artykułów w warszawskich „Wiadomościach Literackich" i faktyczny redaktor naczelny „Wolnej Polski" w Związku Radzieckim, czy Borejsza w ogóle mógł komukolwiek podlegać?*

— Nawet wielkie indywidualności, obdarzone gorącym temperamentem i niewyczerpalną inicjatywą, komuś tam zawsze lub czemuś podlegają. Inna sprawa, że środki finansowe na działalność prasy i „Polpressu" (oraz radia i filmu) nie pochodziły z budżetu Resortu Informacji i Propagandy. My finansowaliśmy to wszystko, co potrzebne było do otwierania świetlic w Lubelskiem, Białostockiem, Rzeszowskiem i na wyzwolonych terenach województwa warszawskiego. Opłacaliśmy ponadto prelegentów i szkolenie ludzi, którzy organizowali świetlice. Warto przy tym wiedzieć, że właśnie nasz resort dysponował drukarniami i papierem.

— *A jakie siły polityczne wyznaczały horyzont ideologiczny ówczesnej działalności kulturalnej? Sprawa wydaje się być oczywista, prosiłbym więc o odpowiedź możliwie precyzyjną.*

— W tej sferze dominowała Polska Partia Robotnicza, głównie poprzez Jerzego Putramenta i Borejszę. Prawą ręką Borejszy był Karol Kuryluk, ściągnięty przez naczelnego „Rzeczypospolitej" ze Lwowa w celu pokierowania tygodnikiem literackim „Odrodzenie".

— *Kilka lat później Borejsza odwoła Kuryluka, „głębokiego moralistę", ze stanowiska szefa tego znakomitego czasopisma, wychodzącego już w Krakowie.*

— Trzeba wszak pamiętać, że Kuryluk był potem dyrektorem wielkich wydawnictw, ambasadorem i ministrem kultury i sztuki. A wiecie, w którym roku zmarł Borejsza? W 1952...

— *W okresie Polski lubelskiej awansował pan w hierarchii wojskowej: od kapitana do podpułkownika, by jako minister w Rządzie Jedności Narodowej, powstałym kilka tygodni po kapitulacji Niemiec, otrzymać stopień pułkownika*

— I wtedy właśnie powiesiłem mundur w szafie, nie przyjmując też proponowanego mi stanowiska w Sztabie Generalnym. Będąc prezesem Towarzystwa Przyjaciół Żołnierzy, nie oddaliłem się przecież tak zupełnie od wojska. Proszę spojrzeć na ten duży obraz olejny, namalowany zresztą według fotografii z 1946 roku: ten cywil pośrodku to ja, obok stoją marszałek Michał Rola-Żymierski i generał Jerzy Bordziłowski, na drugim planie widnieją sylwetki dwóch jeszcze mężczyzn, a przed nami — stół z nagrodami dla żołnierzy biorących udział w lekkoatletycznych mistrzostwach Wojska Polskiego.

— *Spróbujmy więc jeszcze głębiej spojrzeć w pańską przeszłość. Urodził się pan w roku 1905, podobnie jak np. Gomułka czy Borejsza. Potem, w młodzieńczym fragmencie biografii Stefana Matuszewskiego, pojawia się seminarium duchowne i postać Stanisława Dubois, który osobę duchowną „zaraża" ideałami socjalizmu, jak się okazało — skutecznie. Studiuje pan w paryskiej Sorbonie, a przed wybuchem wojny zostaje desygnowany na prezydenta miasta Skierniewice. Po napaści Hitlera na Polskę działacz PPS trafia do Związku Radzieckiego gdzie wstępuje do naszej armii z którą następnie dociera do Lublina. Należy pan tutaj do najbardziej czynnych ludzi okresu PKWN. Obliczyłem, że w opracowanej przez Tadeusza Chabrosa „Kronice wydarzeń w Lublinie 21 VII 1944 — 1 II 1945" obok Bieruta, Zawadzkiego, Roli-Żymierskiego, Osóbki-Morawskiego i Rzymowskiego właśnie Matuszewski wymieniany jest najczęściej. A trzeba wiedzieć, że indeks osobowy tego wydawnictwa obejmuje około 550 nazwisk! Po zjednoczeniu PPS z PPR zostaje pan zastępcą członka Biura Politycznego KC PZPR, później zaś przewodniczącym Centralnej Komisji Rewizyjnej partii. Następnie, nie znajdując wspólnego języka z Gomułką, przechodzi pan do pracy naukowo-dydaktycznej w Uniwersytecie Warszawskim, zdecydowanie odrzucając proponowane mu uprzednio wysokie stanowisko w służbie dyplomatycznej. Na uczelni profesor Matuszewski, władający greką, łaciną i hebrajskim, wykłada historię... doktryn religijnych, aż do przejścia na emeryturę. A przypominam te fakty dlatego, że z t a k i m życiorysem, w rzeczywistości znacznie bogatszym, pańskie nazwisko nie znalazło się w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN z 1968 roku! Jakim cudem?!*

— Czy to naprawdę takie ważne? Pytanie należałoby zresztą skierować pod innym adresem, gdyby nie było już za późno.

— *O ile wiem, od lat należy pan do Towarzystwa Kultury Moralnej, które swego czasu irytowało jakby Edwarda Gierka i sekretarza Jerzego Łukaszewicza...*

— Założył je Tadeusz Kotarbiński, jeszcze w 1958 roku. Skupia ono, bo przecież ciągle istnieje, ludzi, którzy różne problemy współczesnego świata postrzegają w perspektywie moralnej i odczuwają potrzebę wymiany opinii. Prezesowałem Towarzystwu przez kilka lat minionej dekady, jeszcze za życia Kotarbińskiego i podczas choroby profesora, i nadal biorę udział w jego pracach.

— *Mówi się, że wasze spotkania mogłyby być wzorem dla jakiegoś autentycznego frontu porozumienia narodowego. Bo kto w nich nie uczestniczył?! Marksiści klasyczni i wątpiący, katolicy ortodoksyjni i realistyczni, socjaliści i liberałowie, starzy i młodzi — na ogół ludzie dobrej woli. Pojawiał się tam również legendarny (i zaprzyjaźniony z panem) ksiądz kapitan Wilhelm Kubsz, kapelan I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, który w Sielcach nad Oką celebrował premierową mszę niedzielną dla polskich żołnierzy z pułkownikami Berlingiem, Zawadzkim, Bukojemskim i Siwickim na czele, dosłownie, bo stali w pierwszym rzędzie.*

— Powiedziałbym, że podczas tych spotkań poszukujemy tego, co ludzi łączy, co jest pierwszym warunkiem człowieczeństwa.

— *Dziękuję, panie ministrze, za rozmowę.*

Rozmawiał: **Ireneusz J. Kamiński**

Okolice sztuki

Kłonicą ich!

kamena 8

PÓREM Dionizego Sidorskiego „Przegląd Tygodniowy" (nr 11) znów zaatakował koncepcję przekazania Zamku Ujazdowskiego w Warszawie na Centrum Sztuki Współczesnej, choć ostatecznią, formalnie rzecz biorąc, decyzję w tej sprawie, niezgodną z pragnieniami naszego polemisty, zdążył jeszcze podjąć poprzedni minister kultury i sztuki. Można zatem powiedzieć, że rzecz ciągnie się, jak przysłowiowy smród za wojskiem, a autor felietonu „Ratować skarby kultury" dobrze się czuje w takim klimacie, co zresztą zrozumiałe, ponieważ sam go tworzy. No cóż, nie takie upodobania manifestują dziś ludzie.

Także w sferze merytorycznej tekst Sidorskiego nie grzeszy oryginalnością, znajdujemy tam bowiem konstatacje i wnioski od miesięcy recytowane przez przeciwników idei Centrum w Zamku. Twierdząc zatem, że wiadoma decyzja J. Tejchmy zapadła „pod wpływem hałaśliwej presji" i jest absurdalna, autor roztacza przed załzawionym okiem czytelnika dramatyczny pejzaż magazynów stołecznego Muzeum Narodowego, gdzie wręcz „butwieją" tysiące eksponatów malarstwa z XVIII i XIX w. i poniewierają się stosy szkła, porcelany oraz sztuki zdobniczej, uznanej przez felietonistę za „rewelację na skalę światową". Ostatecznie Sidorski postuluje przekazanie Zamku na cele Muzeum Narodowego, a więc powtarza to, co od trzech prawie lat głosi promuzealne lobby (zresztą w stylistyce hałaśliwej presji na władze).

Jest wszakże w tym tekście wątek całkowicie oryginalny, wręcz egzotyczny, a zarazem bardzo swojski i stanowiący zupełnie odrębny problem. Oto zgromadziwszy racje przemawiające za wprowadzeniem muzeum do Zamku Ujazdowskiego autor n a c i ą g a na żyłkę swego rozumowania argumenty kompromitujące... sztukę współczesną w ogóle!

„Powierzanie go [Zamku] plastykom, których wystawy prezentowane w salach BWA świecą pustkami i nawet na otwarcie można do ich wnętrz ściągnąć zaledwie garść znajomych, ale pod warunkiem alkoholowego poczęstunku, jest ogromnym nieporozumieniem" — oznajmia nasz zapaśnik, który widocznie kiedyś pilnie uczęszczał na wernisaże w Białymstoku i Łomży, gdzie przebywał w czasach bezkartkowych win i wódek. „Po co tworzyć jeszcze jeden martwy obiekt — pyta w kolejnym zdaniu — w którym odwiedzana będzie tylko część kawiarniana, a pożytek z całości odniesie kilku managerów ze środowiska plastycznego i garść urzędników?"

Innymi słowy: plastyka współczesna nie cieszy się zainteresowaniem publiczności, a Centrum potrzebne jest

DANTON i „DANTON"

WIELKA Rewolucja Francuska zawsze była „wdzięcznym" tematem dla twórców. Niezależnie od tego, czy skupiali się oni w swych dziełach nad jej najbardziej promiennymi, czy też najczarniejszymi rozdziałami. Z jednej strony — „Liberté, Egalité, Fraternité"; z drugiej — krwawy okres terroru. Zimny Robespierre i — ulubieniec ludu, „płomienny" rewolucjonista, Jerzy Danton, zgilotynowany po osądzeniu go przez trybunał rewolucyjny. Przed którym wygłaszał porywające przemówienia, o mało nie zmieniwszy biegu wypadków w tym pierwszym tak słynnym w historii procesie politycznym. Danton przeszedł do legendy jako postać szlachetna, bohater romantyczny; Robespierre — jako wyrafinowany okrutnik. Jest w Paryżu ulica Dantona, ale na próżno by szukać rue Robespierre...

Kino nie pozostawało w tyle za innymi dziedzinami sztuki, a podchodziło do tematu zazwyczaj (szczególnie w pierwszym okresie istnienia) z całkowitą dezynwolturą. Pierwszy film liczący się w historii kina „z czasów" Rewolucji Francuskiej, nakręcony przez Ernsta Lubitscha w 1919 r. „Madame Dubarry" z Polą Negri w roli tytułowej, sprowadzał beztrosko dziejowy przewrót do wielkiej awantury, na której tle rozgrywa się przygodowy, „mrożący krew w żyłach" wątek fabularny, urągający na każdym kroku prawdzie historycznej. Nakręcony dwa lata później niemiecki „Danton" w reżyserii Dymitra Buchowieckiego przeinaczał fakty, sprowadzając rywalizację Danton—Robespierre do uczucia zazdrości o popularność, a co za tym idzie — nienawiści Robespierre'a względem rywala. Nie inaczej, może nawet jeszcze gorzej, było z kolejnym „Dantonem", zrealizowanym w 1931 r. w Niemczech przez Hansa Behrendta. Jak pisze w swej książce „Od Caligariego do Hitlera" Siegfrid Kracauer, w filmie tym „Danton—patriota okazuje się obrońcą ludzkości; jego celem jest nie tyle dalszy rozwój rewolucji, ile wolność od wszelkiego ucisku. Płomienna opozycja wobec dyktatury Robespierre'a czyni zeń postać zakochanych w wolności bohaterów Schillera. Rewolucyjny jakobin przekształca się w szlachetnego rebelianta. W ten sposób Danton staje co prawda po stronie demokracji przeciwko tyranii, ale równocześnie swym patriotyzmem i uczuciowością mocno przypomina zbuntowanych niemieckich zapaleńców, którzy w swej nienawiści do traktatu wersalskiego i republiki weimarskiej byli predestynowani, by stać się sympatykami Hitlera. Ta postać filmowa była paradoksalną mieszaniną potencjalnego hitlerowca i bojownika demokracji. Podobno na berlińskiej premierze „Danton" był przyjęty entuzjastycznie".

Próbą szlachetnej apoteozy Wielkiej Rewolucji Francuskiej, wielkich przemian społecznych, politycznych i obywatelskich jakie niosła ze sobą, był nakręcony w 1936 r. przez francuskiego reżysera Jeana Renoir film „Marsylianka". Przyjmując tytuł od rewolucyjnej pieśni, skomponowanej przez Rougeta de Lisle, (późniejszego hymnu francuskiego), z którą na ustach przybył latem 1792 do Paryża jeden z rewolucyjnych, marsylskich batalionów, Renoir osadził akcję swojej „Marsylianki" w dniach tzw. „ruchu 10 stycznia", kiedy to lud paryski zaatakował siedzibę króla, Tuilerie, i monarchia została ostatecznie obalona. Francja w półtora miesiąca później stała się republiką. Właśnie w owych gorących dniach Danton wyrósł na przywódcę i trybuna ludu.

Niestety, „Marsylianka" — choć była zamierzeniem szlachetnym, a w dodatku niecodziennym (popierała jej realizację centrala związków zawodowych C.G.T., grali w filmie statyści-związkowcy, a nawet utworzono specjalne przedsiębiorstwo udziałowe, mające na celu zapewnienie odpowiednich kredytów dla filmu) — wypadła nader blado. Słynny reżyser nawet o nim nie pisze w swoich wydanych po wojnie wspomnieniach.

A teraz — Wajda.

Wydaje się, że zarówno rząd Republiki Francuskiej, kierowany przez socjalistę prezydenta Mitterranda, który wyasygnował sporą dotację, jak i znana firma Gaumont, przystępując w koprodukcji z „Filmem Polskim", do realizacji „Dantona" anno 1981—1982, spodziewały się czegoś w rodzaju renoirowskiej „Marsylianki". Tylko — zrobionej lepiej i efektowniej ręką Andrzeja Wajdy. Rzecz taka pasowałaby jak najbardziej do studziewięćdziesiątej rocznicy powstania Pierwszej Republiki i wyprzedzała o kilka lat jubileusz dwóchsetlecia zdobycia Bastylii.

Tymczasem Wajda wszystkich zaskoczył. Wywołał we Francji burzę dyskusji, a wielu ministrów postawił w sytuacji nader niezręcznej. Zamiast szlachetnej, historycznej laurki dał drapieżny traktat o władzy, oparty na wyreżyserowanej uprzednio przez siebie na polskich deskach scenicznych sztuce Stanisławy Przybyszewskiej „Sprawa Dantona". Zrezygnował ze szturmów na Bastylię i Tuilerie, sięgnął do tego, co zdarzyło się po tych wydarzeniach, do okresu „Terroru". Wiosna roku 1794 w Paryżu, działalność Komitetu Ocalenia Publicznego z Robespierrem i Saint-Justem na czele, dzieje upadku Jerzego Dantona — oto tło fabularne „Dantona" Andrzeja Wajdy.

W szumie nieustającego deszczu, na puste ulice stolicy Francji wjeżdża ciężka podróżna karoca wioząca bohatera wypadków 10 sierpnia 1792 r., ulubieńca ludu, byłego ministra sprawiedliwości, energicznego — jeszcze nie tak dawno — przywódcy rewolucji, genialnego mówcy, adwokata z zawodu — trzydziestopięcioletniego Jerzego Dantona. W tym samym czasie w skromnym pokoiku przy ulicy St. Honoré podnosi się ze snu rówieśnik krwistego, zwalistego, kochającego uciechy życiowe Dantona, również adwokat z zawodu — szczupły, drobny, kostyczny i nie wolny od fanatyzmu, czysty w intencjach, bezgranicznie oddany rewolucji, „Nieprzekupny" — Maksymilian Robespierre... Tak zaczyna się „Danton" Wajdy.

I w tym miejscu mogłyby zacząć się nieporozumienia... Myli się bowiem ten, kto zechce widzieć w dziele Andrzeja Wajdy film „historyczny". Przynajmniej w owym potocznym rozumieniu: „A jak to było, opowiem"... (Taką rolę spełniał w mniej lub bardziej udanym rzetelnym stopniu, wyświetlany stosunkowo niedawno w naszej telewizji, francuski serial „Maria Antonina") Już prędzej można by „Dantona" określić mianem „historycznej refleksji". Można go też nazwać filmem politycznym. I również — dramatem psychologicznym. A także — wielkim dyskursem toczonym przez dwóch protagonistów: rewolucjonistę-reformatora i rewolucyjnego doktrynera. Obydwaj są oddani sprawie ludu. Ale czyja postawa jest bardziej słuszna? Który ma rację?

Nie można wajdowskich postaci — Robespierre'a i Dantona traktować jako bohaterów sensu stricto historycznych. Nie można nazwać ściśle historyczną prawdą całej pokazanej na ekranie „sprawy Dantona".

Na takie, a nie inne postępowanie nieekranowego Robespierre'a i jego towarzyszy, na taki, a nie inny sposób zachowania się Dantona i jego zwolenników, wpływały czynniki zewnętrzne, które w filmie wcale, albo prawie wcale, nie występują: szeroko rozlane powstanie chłopskie w Wandei skierowane przeciwko rządom Republiki, rosnące w błyskawicznym tempie wewnątrz kraju siły rojalistycznych kontrrewolucjonistów, wreszcie — zbrojna interwencja z zewnątrz. Terror — który przyniósł tyle krwi i ofiar, przekształcając się w pewnym momencie w reakcję łańcuchową, kosząc ostrzem gilotyny także głowę samego Robespierre'a — był przecież podjęty z myślą o opanowaniu tragicznej sytuacji, o ratowaniu nie tylko już Rewolucji, ale także samej Ojczyzny. Nie ma mowy w tym filmie o działalności „egzaltowanych", którym przewodził dziennikarz Hebert, ani zbyt wiele, w sumie, nie mówi się o tzw. „pobłażliwych", zwolennikach Dantona, uważających że Terror idzie zbyt daleko, w zbyt niebezpiecznym kierunku...

Wreszcie — Jerzy Danton też nie był ideałem. „Drugie oblicze Dantona było inne: człowiek pozbawiony skrupułów, w swoim czasie przekupiony przez Mirabeau, wzbogacił się nader podejrzanie". Jego druga żona, którą poślubił już za czasów Republiki, była rojalistką. Danton wycofał się od pewnego czasu z czynnego życia publicznego, prowadził wygodne życie w swojej posiadłości na prowincji, w jakiejś mierze odsunął się od rewolucji. Niektórzy mu współcześni uważają, że przechodził poważny kryzys nerwowy. Pisząc o zmianach w Komitecie Ocalenia Publicznego w 1793 r., Jan Baszkiewicz, autor „Historii Francji", zauważa: „Robespierre mógł teraz ujawnić swój talent męża stanu: przenikliwą ocenę realiów, szybkość decyzji, odwagę, energię. Służył rewolucji z czystością intencji, która mu zyskała przydomek Nieprzekupnego. Oczywiście, popełniał też błędy: podejrzliwość i mściwość były dlań złym doradcą". Uzupełnieniem tych słów jest zdanie francuskiego autora, Ratinauda, że wszak „czasy były twarde. Ludzie zużywali się z przerażającą szybkością... Bailly, La Fayette, triumwirat, Brisson, Hebert: żadnemu z nich nie udało się panować nad wydarzeniami... Jedynie Robespierre zdołał utrzymać się przez szereg miesięcy. Ten fakt jest miarą jego geniuszu"

Wajda jakby „wyłuskał" z tego wszystkiego „czysty problem". Dwie racje, dwie postawy: „liberała", który znużył się już rewolucją (a może przestał w nią już w ogóle wierzyć?), oraz „człowieka czynu", który decyduje się na skupienie całej władzy w swoich rękach, zdając sobie sprawę jednak, jakie mogą z tego wyniknąć niebezpieczeństwa. Tak więc problem przedstawiony przez Wajdę w „Dantonie" należy do gatunku uniwersalnych, choć wpisany został w „temat" Wielkiej Rewolucji Francuskiej. I Danton i Robespierre są przy tym postaciami złożonymi, siedzi w nich „kilku ludzi na raz": dobro sąsiaduje ze złem, małość z wielkością, względy natury osobistej i osobiste kompleksy mają niemały udział w ich publicznych poczynaniach. Które zresztą nie są, jakże często, zależne wyłącznie od ich własnej woli.

Film Andrzeja Wajdy każe zastanowić się, gdzie są granice działania „w imieniu słusznej sprawy", w którym miejscu kończą się rządy silnej ręki, a rozpędzona machina władzy porywa za sobą i niszczy ludzi, którzy wprawili ją w ruch. A także: że nie można zapominać o fakcie, iż będąc „ulubieńcem ludu", można owe uwielbienie stracić, nie wiadomo kiedy, jeśli realna działalność przemienia się z czasem w kokieterię i pustosłowie jak w przypadku wajdowskiego Dantona. Bo wprawdzie został on skazany w spreparowanym przeciwko niemu procesie politycznym, ale występując przed sprzedajnym trybunałem zapomniał, że jest już dla ludu bardziej legendą, postacią historyczną, niż jego autentycznym trybunem. Lecz wajdowski Robespierre ma także przeczucie swojej przegranej: w ostatnich scenach filmu ze smutkiem spogląda na dziecko recytujące fragmenty „Deklaracji praw człowieka i obywatela"...

„Nadużycia terroru — pisze cytowany już tutaj Jan Baszkiewicz — były rezultatem biurokratyzacji jakobińskiej dyktatury. Misją dziejową jakobinizmu było łączenie w rewolucyjnym froncie burżuazji i sankiulotów: gdy sprzeczności między tymi dwiema siłami społecznymi zaostrzały się, jakobinizm zaczął tracić społeczne oparcie. Próżnię, która powstawała wokół ekipy rządzącej, wypełniał już od zimy 1794 r. biurokratyczny personel, coraz silniejszy, zorientowany na utrzymanie się przy władzy i nie doceniający niebezpieczeństwa nadużywania środków terrorystycznych.

Straszliwa łatwość stosowania terroru wprowadzała w błąd: skłaniała do prób rozwiązywania za pomocą gilotyny zawiłych kwestii społecznych i politycznych".

Od strony artystycznej „Danton" Andrzeja Wajdy jest dziełem nierównym. Przy scenach i całych sekwencjach genialnych (szczególnie: spotkanie i rozmowa Dantona z Robespierrem, sceny z obrad Komitetu Ocalenia Publicznego) ma szereg scen chybionych dramaturgicznie, a niekiedy nawet żenujących w swej naiwności (np. ciągłe „ogrywanie" postaci żony Desmoulinsa z nagim niemowlęciem na ręku). Najmniejsze wrażenie sprawił na mnie sam proces Dantona. Ale tak właśnie bywa u Wajdy: wielkość sąsiaduje nieraz z przeciętnością, dając jednak w sumie prawie zawsze dzieło niezapomniane. Czy „Danton" jest dziełem wybitnym? Zbyt wiele w nim nierówności. Jest dziełem znaczącym. Jest dziełem dwóch wielkich kreacji aktorskich: Gerarda Depardieu (rolą Dantona zapisze się on na zawsze w historii światowego kina) oraz Wojciecha Pszoniaka jako Robespierre'a. Obaj — genialni!

Ale najważniejszą wartością „Dantona" jest fakt, że to film mądry, choć gorzki, pozbawiony zaciekłości, zmuszający do refleksji.

M.D.

---

tylko typom dbającym o własne kariery związkowe i administracyjne.

Ale nie koniec na tym; kłonica nadal w ruchu. Po ustawieniu przeciwnika do bicia. Sidorski ściąga mu spodnie, żeby wszyscy ludzie dobrej woli zobaczyli, co on tam kryje, buc alkoholowo-kawiarniany. Otóż: „Współczesna plastyka ma gdzie się prezentować [...] choć wartość jej w wielu wypadkach jest co najmniej wątpliwa" — autorytatywnie stwierdza reportażysta, my zaś przypominamy sobie, jak to kilka lat temu ogłoszono drukiem w Sandomierzu detronizację Picassa, uznając go niemal za zwyrodnialca. Tymczasem, ciągnie Sidorski przybierając postawę zasadniczą, „Brak [...] miejsca dla tego, co w naszej kulturze trwałe, nieprzemijające i bez wątpienia piękne". A więc dla starego szkła, wiekowej ceramiki i sztuki zdobniczej, w której zresztą, zdaniem autora, najpełniej wyraża się „gust estetyczny narodu".

W utworze Sidorskiego roi się od tzw. wielkich słów i na taki też poziom artykulacji wspina się generalny wniosek dziennikarza: „Nie można budować współczesności za cenę zniszczeń dorobku ubiegłych pokoleń. Obrońcy pochopnych decyzji powinni wreszcie to zrozumieć. A oddanie Zamku Ujazdowskiego na potrzeby tzw. Centrum Sztuki Współczesnej nosiłoby na sobie piętno działań niszczycielskich".

Jak wiadomo, nieznajomość prawa nie zwalnia nikogo z odpowiedzialności za jego łamanie. Obywatel Dionizy Sidorski powinien więc stanąć przed sądem: pod zarzutem podżegania do dzieciobójstwa — choć kompletnie nie orientuje się, iż sztuka współczesna wyrasta z tradycji artystycznej, jest dzieckiem przeszłości, tyle że częściej niż kiedykolwiek sprzeciwiającym się rodzicom. Stanowiąc rozległą familię znaków i symboli, idei i emocji, ta cała rzeczywistość pełni różnorodne i zmienne funkcje w życiu społecznym: jako sztuka aktualna jest rodzajem soczewki skupiającej ludzką uwagę na problemach współczesności, a jako fakt już historyczny — swoistym pamiętnikiem homo sapiens. Obie te funkcje są równoważne w procesie kształtowania świadomości zbiorowej i prostacki błąd popełnia każdy, kto wywyższa jedną kosztem drugiej. Sidorski apeluje, by „nie budować współczesności za cenę zniszczeń dorobku ubiegłych pokoleń", ale w gruncie rzeczy jego wywody, ujawniające irracjonalną pogardę dla sztuki dzisiejszej, stanowią zachętę do wznoszenia sanktuariów tradycji na gruzach współczesności. Coś mi się wydaje, że Sidorskiemu marzy się Polska usiana świątkami, które radośnie uginają się pod złotem i srebrem naszej wspaniałej, rodzimej i niedoścignionej w świecie sztuki stosowanej.

Mówiąc najdelikatniej, wszystkie uogólnienia Sidorskiego na temat plastyki współczesnej są błędne. I właśnie ta szczera manifestacja niewiedzy estetyczno-kulturowej, zaistniała w formie felietonu „Ratować skarby kultury", stanowi mocny argument na rzecz pilnego powołania Centrum Sztuki Współczesnej, które pomyślane zostało jako m.in. placówka oświatowa. A najszybciej można sprawę sfinalizować właśnie w murach Zamku Ujazdowskiego.

Co z Muzeum Narodowym? To jasne: także należy mu pomóc.

IJK

Halina Frąckowiak:

Wyśpiewać siebie

Fot. Waldemar Stępień

— Od sukcesów święconych z grupą ABC Andrzeja Nebeskiego mija 14 lat. Jak wspomina pani tamtą Halinę Frąckowiak?

— Mile i z pewnym sentymentem. Gdybym miała wartościować dokonania, bardziej podoba mi się drugi okres współpracy z ABC. Od piosenki „Idę dalej" rozpoczął się nowy etap mej przygody. Odeszłam wtedy od typowych, rytmicznych i nieco naiwnych przebojów. Śpiewając z grupą ABC, byłam jeszcze bardzo młodą dziewczyną i myślałam zupełnie inaczej, niż obecnie. Pamiętam, że w tamtym okresie miałam głęboką potrzebę wyśpiewywania muzyki. Tekst był jedynie uzupełnieniem dźwięków i nie liczył się dla mnie. Dziś podchodzę do tego tematu zgoła inaczej. Oczywiście dalej mam potrzebę wyśpiewywania muzyki, ale realizuję ją z pomocą innych środków wyrazu. Dla podkreślenia ważności przekazu zawartego w tekście mogę przecież śpiewać wokalizą. W chwili obecnej tekst jest dla mnie niezmiernie ważny. Nie sięgam więc po pierwszy z brzegu.

— Czy dlatego śpiewa pani ostatnio poezję?

— Zawsze lubiłam poezję, choć jej nie śpiewałam. Kiedyś przełamałam się i zdecydowałam na wartościowe literacko teksty. Choćby dlatego, że staram się utożsamiać z wyśpiewywanym słowem. Zanim jednak włączę wiersz do swego repertuaru, musi on do mnie przemówić, muszę go zaakceptować całym wnętrzem i zżyć się z nim.

— Od kiedy datuje się przełom w pani rozumieniu piosenki?

— Przełomowym wydarzeniem było dla mnie spotkanie z Józefem Skrzekiem i fascynacja jego muzyką. W 1975 roku, kiedy pracował jeszcze z Czesławem Niemenem, zwróciłam się do niego z prośbą o napisanie czegoś specjalnie dla mnie. Potraktował pośbę bardzo serio i otrzymałam „Brzegi łagodne" z pięknym tekstem Juliana Mateja. Wpadłam w zachwyt. Tak nikt dla mnie nie pisał. Później długo i wytrwale kompletowaliśmy repertuar, aż powstała duża płyta „Geira". Grali ze mną muzycy SBB. Sesja wypadła doskonale i do dziś wspominam ją z sentymentem.

— Czy w swej admiracji dla poezji ma pani szczególnie ulubioną tematykę?

— Chciałabym być dobrze zrozumiana, ale wiem, że wszystko, co leży gdzieś głęboko w duszy, przy próbie definiowania staje się banalne. Stąd unikam otwierania się. Aby jednak nie uciec od pytania, przytoczę fragment wiersza Kazimierza Wierzyńskiego „Ucieczka": „Znikąd już nie ma ratunku /znikąd już nie ma pomocy/ Czarny mnie pociąg uwozi/ w głąb przepaścistej nocy". Jest to bardzo tragiczny i ekspresyjny tekst, który spośród wielu wybranych do programu lubię najbardziej. Sięgnęłam po poezję Wierzyńskiego nieprzypadkowo. Zachwyciła mnie ekspresja jego wierszy. Przez półtora roku wertowałam tomiki, by wreszcie wybrać materiał, który posłużył mi do nagrania płyty „Ogród Luizy".

— Z kim ją pani realizowała studyjnie?

— Długo zastanawiałam się, kogo poprosić o ilustrację muzyczną tych wspaniałych strof. Rozpatrywałam możliwość zaangażowania kilku kompozytorów, ale ostatecznie zdecydowałam się na Józefa Skrzeka. Wybrałam jego, mając w pamięci wspaniałą współpracę przy realizacji „Geiry". Tym bardziej, że zależało mi na tym, aby jeden muzyk patronował od początku do końca całemu przedsięwzięciu. Zadaniem Skrzeka było uwypuklić poezję Wierzyńskiego. On jako indywidualista-kompozytor zostawił także dla siebie pole do popisu. Kiedy kończył się wiersz, Skrzek rozwijał się w treści muzycznej. Z efektów jestem zadowolona. Realizowaliśmy „Ogród Luizy" we dwójkę i moim zdaniem nagrania wypadły dobrze. Teraz ocenią je słuchacze.

— Coraz rzadziej pojawia się pani na estradzie. Czyżby zrezygnowała pani wzorem innych koleżanek z występów i wyjazdów w tzw. trasy koncertowe?

— W ciągu ostatnich trzech lat pracowałam najintensywniej. Efektem są dwie płyty długogrające, które powinny pojawić się niebawem w sklepach. W tym okresie wyjeżdżałam za granicę. Trzykrotnie koncertowałam w Stanach Zjednoczonych. Byłam też w Związku Radzieckim, NRD i Bułgarii. W kraju również miałam występy, choć może nie w takiej ilości, co kiedyś. W teatrze „Stara Prochownia" śpiewałam wiersze Kazimierza Wierzyńskiego. Współpracowałam z teatrem „Syrena". Z racji obowiązków rodzinnych (wychowywanie syna Filipa) starałam się pracować możliwie najwięcej w Warszawie. Warto pamiętać, że praca wykonawcy estradowego nie ogranicza się wyłącznie do koncertów. Mam mnóstwo zajęć związanych z zawodem. Jestem sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Przygotowuję repertuar, załatwiam nagrania, reklamę i systematycznie uczę się. Wyznaję zasadę, że koncerty wieńczą trud przygotowania programu. Na scenie odzwierciedla się to, do czego dochodzi wykonawca drogą żmudnych prób i wyrzeczeń. Wbrew obiegowym opiniom, że profesjonalista nie musi się już uczyć, od lat pobieram lekcje śpiewu. Najpierw uczyła mnie prof. Wermińska, a obecnie prof. Olga Łada. Od systematyczności i podejścia do zadanych ćwiczeń zależą wyniki. Nie opuszczam ćwiczeń, nawet mieszkając w hotelowym pokoju. Równolegle do nauki śpiewu, rozwijającego interpretację i emisję głosu, pogłębiam znajomość języka obcego w Instytucie Francuskim. Być może przyda mi się to przy wyjeździe za granicę.

— Nie ma pani piosenek w notowaniach liczących się obecnie przebojów. Rzadko gości pani w programach radiowych i telewizyjnych. Czy zatem nie odczuwa już pani bezbolesnego przesunięcia na drugą linię życia estradowego? Starsi słuchacze znają pani poprzednie nagrania i cenią ich poziom, ale dla najmłodszych, zafascynowanych ostrym rockiem, pani nazwisko niewiele mówi. Czy nie odczuwa pani z tego powodu rozterek duchowych?

— Odpowiem panu, że akurat nie mam takowych rozterek. Oczywiście, jak każdy wykonawca chcę, aby moje piosenki były akceptowane przez odbiorców. Staram się wykonywać swój zawód rzetelnie, bez fuszerki. Gdyby zależało mi bardzo na konkurowaniu z wykonawcami rockowymi, to nic prostszego, jak przemienić się i płynąć na modnej fali. Ale wtedy nie byłabym już sobą, nie działałabym zgodnie z wewnętrznym przekonaniem. W swoich piosenkach nie odżegnuję się wcale od rockowego rytmu, tylko że należą one do innego nieco gatunku, mają inną barwę i przesłanie.

— Śpiewała pani dotąd w różnych stylach. Za jaką muzyką opowiada się pani obecnie?

— Chyba nie będę tego definiować dokładnie. Słowa są tak mylące i wieloznaczne, tak nieprecyzyjnie oddają myśli, że wolę unikać określeń. Zresztą piosenki, które śpiewam, najlepiej wskazują na obiekt moich zainteresowań. Po co więc wydobywać mało precyzyjne określenia, skoro wszystkiego można dowiedzieć się z muzyki?

— Czy krótki pobyt w teatrze „Syrena" poszerzył krąg pani doświadczeń, dopomógł warsztatowo?

— Przyznam, iż od dawna chciałam pracować w teatrze. Sądziłam bowiem, że teatr stworzy mi jeszcze jedną okazję do nauki interpretacji, jeszcze lepszego śpiewania. Niestety, współpraca z „Syreną" to moje rozczarowanie. Oczywiście, zdawałam sobie od początku sprawę, że „Syrena" ze swą specyfiką programową ma nikłe możliwości zaspokojenia moich oczekiwań. Do pracy w niej skłoniła mnie możliwość pozostania na miejscu w Warszawie, co było dla mnie ważne ze względu na dziecko. Zaangażowano mnie do spektaklu „Festiwal za 100 złotych" na wolne miejsce po Izabeli Trojanowskiej. Wniosłam do tej sztuki trzy piosenki: „Ucieczkę", „Wariatka tańczy" i „Serca gwiazd", wszystkie dokładnie opracowane muzycznie i choreograficznie. Nie doświadczyłam więc niczego nowego poza tym, co umiałam. Potem wszystko przypominało maszynkę poruszaną siłą rozpędu. Kiedy widowisko zeszło z afisza, pożegnałam teatr dyr. Fillera. Mam cichą nadzieję, że kiedyś znajdzie się dla mnie miejsce w teatrze spełniającym moje oczekiwania, w którym będę mogła zrobić program ambitniejszy.

— Czy śledzi pani uważnie poczynania konkurentek, głównie tych z kręgu rocka?

— Prawdę mówiąc, dawno przestało mnie bawić uważne słuchanie nowości nagraniowych, czytanie krytyków piszących o muzyce rozrywkowej i śledzenie list przebojów. To po prostu mija wraz z wiekiem. Ale coś niecoś słucham. Bardzo podoba mi się piosenka „Co mi panie dasz" w wykonaniu Beaty Kozidrak i Bajmu. Podobają mi się też w treści niektóre nagrania Kory. Jednak w większości piosenki młodych wykonawców rockowych mnie nie przekonują. Są za mało estetyczne.

— Czego można oczekiwać od pani w najbliższym czasie?

— Oprócz wspomnianej już płyty „Ogród Luizy" powinna pojawić się niebawem w sklepach druga płyta „Serca gwiazd" zestawiona przez Wifon z nagrań radiowych. Będą na niej starsze utwory i zupełne premiery. Być może, obie płyty pojawią się równolegle. Zamierzam przygotować recital w „Starej Prochowni", będący przeglądem moich dokonań. Materiał mam już wybrany. Przygotowuję też program telewizyjny oparty w całości na poezji Kazimierza Wierzyńskiego. Ciekawostką jest fakt, że oprócz piosenek napisanych przez Skrzeka (pochodzących z płyty „Ogród Luizy") włączę do niego kompozycje Marka Stefankiewicza, Wojciecha Trzcińskiego, Aleksandra Maliszewskiego i Czesława Niemena. Otrzymałam propozycję występów w Związku Radzieckim w programie „Melodie przyjaciół" i pewnie się zdecyduję.

Rozmawiał: **Istvan Grabowski**

Z BOCZNEJ LOŻY

BRAWA DLA MOTKA

STARY to i jeszcze przez Goethego sprecyzowany pogląd, że prawdziwy teatr może obejść się bez gmachu, kurtyny, sceny i reflektorów, ale nie może istnieć bez publiczności i aktora, i to aktora, który tę publiczność uwiedzie i zmusi do współtworzenia światka, gdzie będzie chciało się pomieszkać choć jedną chwilę.

„Szelmostwa Skapena" — komediofarsa Moliera prezentowana ostatnio w teatrze im. Osterwy staje się teatrem tylko dzięki jednemu aktorowi, który bierze na swoje barki całą konstrukcję dramaturgiczną i dźwiga ją konsekwentnie od początku do końca. Jest nim kreujący tytułową rolę **Wiesław Motek**. Zwinny jak wiewiórka, w tragikomicznej masce mima, gra ukochanego przez publiczność Wszechcwaniaka, Urwipołcia, który swą inteligencją i sprytem lokajczyka-ulicznika przewyższa matołkowatych Argantów i Gerontów z daleko zaawansowaną sklerozą i pełną kiesą, a jednocześnie staje się orędownikiem uwikłanych w miłosne perypetie młodzieńców. Motek-błazen, Motek-pajac, Motek-mim mota całą intrygę dramatyczną w sposób nie tylko przekonywający aktorsko, ale i wzruszający, bowiem wszelkie jego błazeńskie zabiegi i oszustwa mają swój głęboki, wyrastający z tradycji ludowych podtekst, jakim jest zwykła ludzka chęć wyrównania krzywd i niesprawiedliwości, pragnienie uszczęśliwienia nieszczęśliwych i wygarbowania grzbietów głupim i pysznym.

Bardzo dobra aktorsko jest scena, w której tchórzliwy, trzęsący się Geront na polecenie sprytnego lokaja pakuje się do worka, a Skapen, zmieniający się w kolejnych, wyimaginowanych prześladowców Geronta, okłada dolną i górną część pleców swego chlebodawcy grubą łagą, wyrównując w ten sposób rachunki krzywd. No cóż, każdy z nas ma swojego Geronta i każdy ma szansę — mocą magii teatralnej — wraz z Wiesławem Motkiem spłacić dług tylko sobie znanemu Gerontowi, któremu raz wreszcie trzeba uczciwie „dołożyć".

Role skąpych i ograniczonych pracodawców Skapena jako drugoplanowe można zaakceptować. Zarówno Argant (**Ryszard Kolaszyński**) jak i Geront (**Waldemar Starczyński**) mieszczą się w konwencji farsy. Realizacji scenicznej postaci sprzyja groteskowa charakteryzacja i strój.

Dostojna czerń płaszczy skojarzona z kapelami z pomponem i podrygiwaniem stetryczałych pseudodżentelmenów dają niezłe efekty komiczne.

Znacznie gorzej prezentują się role amantów. Żałosną nieudolnością ruchów i sztucznym tonem grzeszy Oktaw (**Zbigniew Wróbel**), gorsząc swą ociężałością i niemrawością. Ta rola wymaga nie tylko młodości i urody, ale także pewnej lekkości, zwłaszcza, że partnerka Oktawa — Hiacynta (**Anna Torończyk**) zwiewnie i wdzięcznie porusza się po scenie.

Te i tym podobne niedostatki w warsztacie aktorskim nie pomniejszają scenograficznych zasług i starań **Liliany Jankowskiej**, bowiem dekoracje i stroje bardzo trafnie budują klimat mollerowskiej komedii. Równie dobrym i dyskretnym akompaniamentem jest stonowana muzyka (**Mieczysław Mazurek**).

Lubelski spektakl „Szelmostw Skapena" potwierdza opinię o dużej skali możliwości i... niemożliwości naszego teatru. Budzić może jednocześnie sporo żalów i pretensji ze strony lubelskich teatromanów, którym nie zawsze udaje się zaznać pełnej satysfakcji estetycznej w murach tego przybytku sztuki.

Maria Pobóg

TEMAT NA CZASIE

Katar leczy się ciepłem

Jak informuje francuski dziennik „LE MONDE”, w najbliższej przyszłości wejdzie do sprzedaży we Francji (za niebagatelną sumę 1 [illegible] franków) aparat do błyskawicznego leczenia kataru pod nazwą „Rhinotherm”, skonstruowany wspólnym wysiłkiem paryskiego Instytutu Pasteura oraz Instytutu Weizmanna z Tel Awiwu. Działanie aparatu opiera się na zasadzie wrażliwości wirusów na wysoką temperaturę odkrytej przez laureata Nagrody Nobla, prof. Andre Lwoffa. On to właśnie na łamach „LE MONDE” wyjaśnia, jak działa „Rhinotherm” i jakie daje rezultaty. Oto omówienie artykułu.

KATAR, czyli nieżyt jamy nosowej — pisze prof. Lwoff — jest schorzeniem infekcyjnym, które leczy się samoistnie w ciągu tygodnia czy dwóch. Choroba ma z reguły przebieg łagodny, do rzadkości należą komplikacje — zapalenie zatok, ucha, infekcje płucne. A jednak katar kosztuje drogo zarówno chorego jak społeczeństwo — powoduje liczne absencje, a także niepohamowane zakupy leków, o których można powiedzieć z całą pewnością, że są nieskuteczne, jakkolwiek płaci za nie ubezpieczenie społeczne. Amerykanie co roku nabywają zbędne lekarstwa za sumę 500 mln dolarów. Według uświęconej formuły, „nic nie wskazuje, aby cokolwiek, poza czasem mogło leczyć katar”. Jest on nieustannym wyrzutem sumienia dla lekarzy i medycyny.

Wbrew rozpowszechnionej opinii ani zimno, ani przeciągi, ani wilgoć nie mogą stać się przyczyną kataru. Jest on nieżytem pochodzenia wirusowego. Ponieważ wirus może dłużej przetrwać w chłodnym i wilgotnym powietrzu niż w ciepłym i suchym, katary są częstszym zjawiskiem zimą. Przez długi czas panowało przekonanie, że około 10 proc. nieżytów nosa jest pochodzenia bakteryjnego. Dziś uważa się, że bakterie mogą przystąpić do ataku dopiero dzięki szkodom spowodowanym przez wirusy, których jest wiele, np. adenowirusy, coxackie-wirusy, a przede wszystkim rhinowirusy wielu typów.

Z wyjątkiem nozdrzy przednich, które są wysłane komórkami płaskimi, śluzówka jamy nosowej pokryta jest komórkami kubkowymi. Każda z nich ma od 140 do 200 migających rzęsek, które poruszają się z szybkością 150—200 razy na minutę. Dzięki tym poruszeniom różne cząsteczki wchłonięte podczas oddychania, a także śluz, posuwają się w kierunku krtani. Normalnie przemieszczenie takie trwa 5—6 minut. 120 tys. małych gruczołów śluzowych i około 250 dużych produkuje dwa rodzaje wydzieliny. Bez względu na temperaturę zewnętrzną, powietrze, które dostaje się do pęcherzyków płucnych, ma 37 stopni. Ochładzanie lub ogrzewanie powietrza rozpoczyna się od śluzówki jamy nosowej, której powierzchnia jest dość znaczna dzięki specjalnej budowie ścianek. Błona śluzowa jest silnie unaczyniona. Powietrze ciepłe i suche wchłania parę wodną, a przyspieszone parowanie obniża temperaturę śluzówki. Powietrze chłodne natomiast jest ogrzewane kaloriami, które pobiera ze śluzówki.

Temperatura błony śluzowej wyściełającej jamę nosową u człowieka oscyluje między 33 a 35 stopniami. Rhinowirusy rozwijają się dobrze właśnie w tej temperaturze, ale źle, jeśli temperatura przekroczy 37 stopni. O skuteczności i powodzeniu leczenia kataru ciepłem decyduje wrażliwość tego wirusa na wyższą temperaturę, która powoduje proces niszczący jego materiał genetyczny. Wystarczy 30—45 minut oddziaływania wysokiej temperatury, aby proces ten wystąpił, jednakże pod warunkiem, że przegrzanie nastąpi w odpowiednim momencie fazy wegetacyjnej wirusa, gdyż na jej początku nie daje rezultatów. Na znajomości tych faktów opiera się metoda leczenia kataru ciepłem.

Wszystkie dostępne dane dowodzą, że obniżenie ciepłoty zwiększa ostrość infekcji wirusowych, zaś jej podwyższenie łagodzi te infekcje. Lokalne podwyższenie ciepłoty w strefie zainfekowanej, a także ogólne jej podwyższenie (czyli gorączka) są powodowane stanem zapalnym czyli odczynem obronnym ustroju. Kortyzon, który zmniejsza lub eliminuje odczyn zapalny, powoduje zaostrzenie się infekcji wirusowych i obecnie zabronione jest stosowanie go w takich przypadkach. Taki sam los powinien spotkać aspirynę, która ma działanie przeciwzapalne i przeciwgorączkowe. Odczyn zapalny i gorączka są bowiem nie tylko objawami infekcji, lecz także, i to przede wszystkim — reakcją obronną samego zainfekowanego organizmu.

Aparat „Rhinotherm” wdmuchuje do nosa pacjenta wilgotne powietrze o temperaturze 43 stopni (używa się wyłącznie wody destylowanej). Na kurację składają się trzy seanse trwające od 30 minut do 2 godzin, z dwu i półgodzinną przerwą między nimi. Podczas badań klinicznych osiągnięto całkowite wyleczenie z kataru w ciągu jednej doby u 72 proc. chorych. Próby przeprowadzone były w ten sposób, że ani chorzy, ani lekarze nie wiedzieli, na czym polega zastosowana kuracja.

Praktyka leczenia ciepłem jest bardzo stara — z dobrym skutkiem stosowano ją w niektórych infekcjach bakteryjnych. Znana jest także metoda „leczenia” kataru przez wdychanie gorącego i wilgotnego powietrza nad parującym naczyniem z wodą. Przynosi to niemal natychmiastową ulgę choremu, ale nie leczy, ponieważ przeciwdziała objawom, natomiast nie niszczy przyczyny zła, tj. wirusa. Wybrana dla „Rhinothermu” temperatura 43 stopni jest najwyższą, jaką bez niepożądanych efektów może dobrze znieść pacjent, nie znosi jej natomiast wirus, jeżeli zostanie nią potraktowany w odpowiednim stadium wegetacji. Aby podziałała na wszystkie wirusy, które tego odpowiedniego stadium nie osiągają przecież równocześnie, konieczne jest przeprowadzenie kilku seansów z odpowiedniej długości przerwami.

Należy tu dodać, że tak praktykowana termoterapia blokuje uwalnianie się histaminy z komórek tucznych śluzówki jamy nosowej, eliminując tym samym reakcje alergiczne, które niewątpliwie odgrywają pewną rolę w wywoływaniu objawów kataru. Stwierdzono też, że taka termoterapia przynosi dobre rezultaty w przypadku przewlekłych nieżytów alergicznych o podłożu nieinfekcyjnym. Badania nad dalszym doskonaleniem metod leczenia kataru ciepłem trwają nadal.

(ap)

KRZYŻÓWKA NR 11

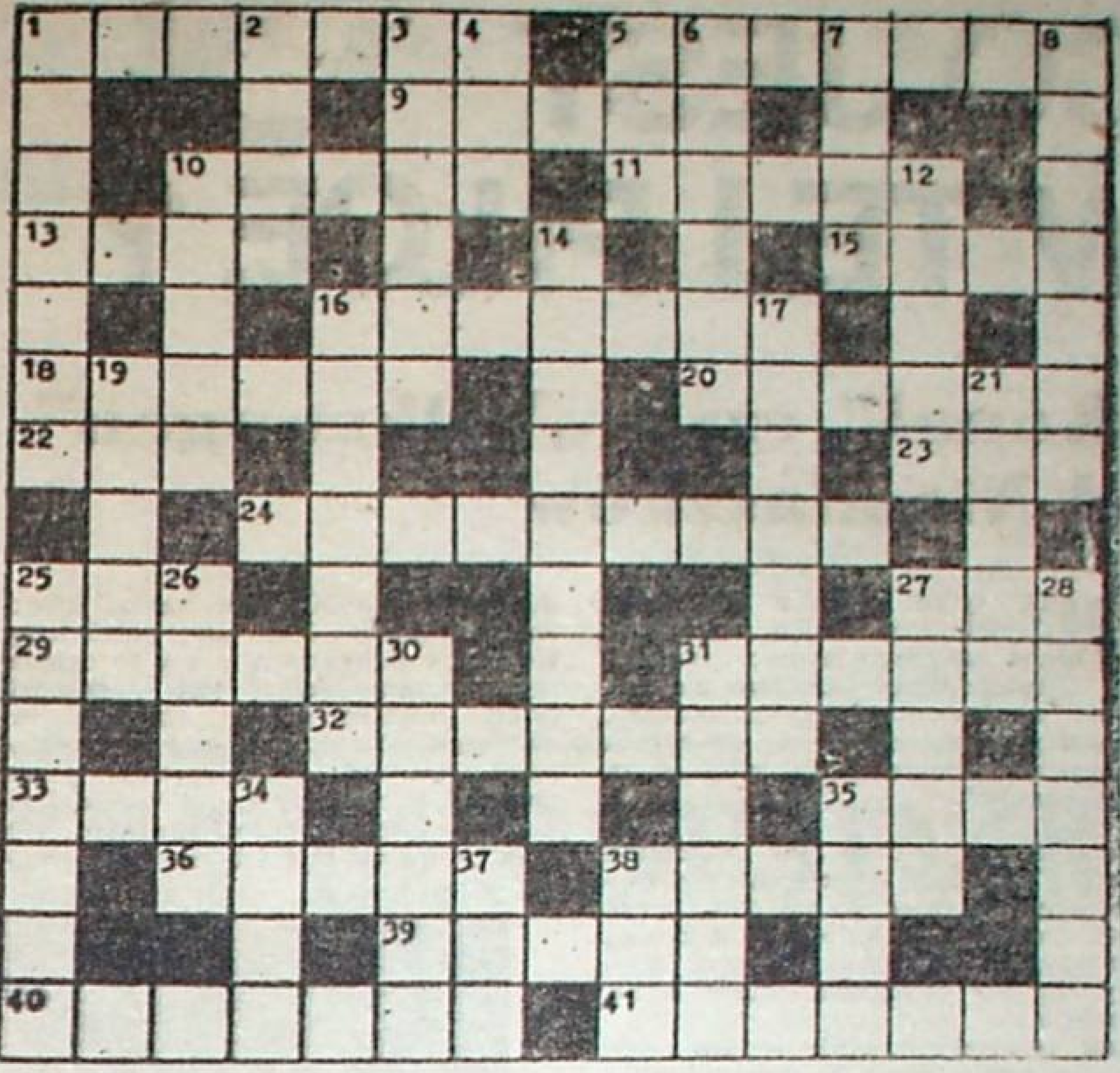

Poziomo: 1. ostatnio zmarły poeta polski, 5. romantyczny wiersz epicki, 9. sprzęt kuchenny porównywany ze szpadą, 10. rezydencjonalny zamek, 11. piecze w gardle, 13. imię królów skandynawskich, 15. Szumią jodły na gór szczycie..., 16. a jednak ma coś do wiatraka, 18. wodospad i miasto w Finlandii, 20. zbliża się znów Halleya, 22. zastępuje kołdrę, 23. występuje razem z penatem, 24. poeta polski XIX wieku, autor „Janka Cmentarnika”, 25. biblijna pierwsza kobieta, 27. Mackiewicz, 29. bulwy, z których wytwarza się tapiokę, 31. litewskie bóstwo wodne ukazujące się pod postacią pięknej dziewczyny, 32. szczyt w Tatrach Wysokich na granicy z Czechosłowacją, 33. wezwanie, 35. muzyczna litera, 36. ususzony miąższ orzechów kokosowych, 38. zboże, 39. profesor Szaniawskiego, 40. Michorowski, 41. uszanowanie, poważanie.

Pionowo: 1. zbójnik beskidzkich legend, 2. los, 3. muza z cyrklem, 4. od wieczora do rana, 5. krzew majowego kwiatu, 6. flegmatyczny wyspiarz, 7. wyższa klasa sportowa, 8. warowna rezydencja w Hiszpanii, 10. trefniś, arlekin, 12. w okolicach Urana lub w „Śnie nocy letniej”, 14. łączy w kwadracie punkty wychodzące z kątów „A” i „C”, 16. poeta polski, współtwórca Awangardy Krakowskiej, 17. zagłębienie powierzchni ziemi otoczone wzniesieniami, 19. jedwabnikowe drzewo, 21. machina oblężnicza do burzenia murów, 23. zakaz wywozu pewnych towarów do jakiegoś kraju, 26. nowela Prusa, 27. twórca monarchii perskiej, 28. gryka, 30. ćwierć garnca, 31. zapalenie gośćcowe kopyt u koni, 34. zimne łakocie, 35. reklama świetlna, 37. piłka za linią, 38. rzeka z historii Wojska Polskiego.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 321 20-950 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 200 zł.

Rozwiązanie krzyżówki Nr 9

Poziomo: Świętochowski, baron, Wisła, obrzeża, Bielski, zjawa, Essen, Ingarden, Italia, peruka, apacze, kwarta, rakietka, rzepa, anons, stragan, osiedle, słoip, Kafka, Przybyszewski.

Pionowo: Barbusse, Śnieżnik, inwazja, Tosca, czaban, osie, stos, Indianie, larwa, wiara, grał, takt, Lukan, peryskop, ulica, Parnicki, Zapolska, rysopis, Kansas, Opole, rydz, grab.

Nagrodę wylosowała Zofia Piasecka, 20-41[illegible] Lublin, ul. 1 Maja 37 m. 4.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

Rivarol powiedział kiedyś pewnemu autorowi:
— Ludzie nie są wcale tak źli, jak pan o nich mówi. Dwadzieścia lat zużył pan na napisanie złej książki, a ludzie potrzebowali tylko jednej chwili, aby o niej zapomnieć.

*

Ludwik XIV zapytał Moliera, czy jest zadowolony ze swego lekarza.
— Sire — odpowiedział pisarz — często rozmawiamy ze sobą, przepisuje mi lekarstwa, nie biorę ich, wracam znowu do zdrowia.

*

Pewna Amerykanka kupiła rysunki Picassa i nie mogła się dość nachwalić. Stopniowo jednak komplementy stawały się coraz słabsze, aż wreszcie nabywczyni zapytała malarza:
— Co właściwie przedstawia ten rysunek?
— Najściślej, wartość trzech tysięcy franków — padła odpowiedź.

*

Fontenelle przyszedł kiedyś rano do znanej artystki. Ona, ubrawszy się, przyjęła go następującymi słowami:
— Widzi pan wstaje się dla pana...
— Byłbym bardziej pochlebiony — odrzekł Fontenelle — gdyby czyniono coś odwrotnego...

Wybrał: Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłosa.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. [illegible], tel. [illegible]
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7180 Nr indeksu [illegible]. Adres redakcji: 20-[illegible] Lublin, ul. Skłodowskiej 1/3.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-95, sekretarz redakcji 219-65, dział publicystyki i literacki 273-88.
Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 321, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Jan Tomaszewski

(9)

CO JEST W TEJ PIŁCE?

„Kanał" czyli „Volkswagen" od Niemiaszków

NIE tylko młodsza generacja Czytelników moich wspomień zna znaczenie słowa: „kanał". Sytuacje nim określane nie mają nic wspólnego z przyjemnościami, satysfakcją, zadowoleniem. Po meczu z Niemcami znalazłem się właśnie na dnie „kanału"...

Pomijam atmosferę na Stadionie X-lecia. Tam były emocje, nerwy. Ludzie mogli krzyczeć, co im ślina przyniosła na język. Myślałem, że to minie, przejdzie, jak dziecięca choroba. Niestety, to się pogłębiało. Może kilka obrazków...

Jadę tramwajem, stoję — jak zwykle — w tyle wagonu, bo tam najmniej przeszkadzam swoją posturą. Nagle słyszę przed sobą: *Zobacz, tam stoi Tomaszewski.* Ludzie się oglądają w moim kierunku i za chwilę słyszę dalej: *Eeee tam. To nie może być Tomaszewski. On by nie jechał tramwajem. A wiecie dlaczego? Bo dostał od Niemiaszków „Volkswagena". Cha cha cha...* Zaczyna się śmiać kilka osób, a potem do mnie: *Ile ci, złodzieju, dali, co?.* Nie wytrzymuję w końcu i wysiadam o kilka przystanków wcześniej.

Inny obrazek. Wchodzę do restauracji coś szybko zjeść, bo w domu pusta lodówka; zapomniałem kupić. Siadam i czekam. Dziesięć, piętnaście minut. Ludzi jest mało, więc szukam kelnera i pytam, czy przyjmie zamówienie. Odpowiada: *Ja nie obsługuję tego stolika. Kolega...* Proszę, żeby poszukał kolegi, a on mówi, że nie jest od szukania. Wreszcie proszę, żeby mi pokazał stolik, przy którym on obsługuje sam. A on: *Wie pan, ale ja zaraz kończę pracę...* Konsumenci patrzą na scenę i się śmieją. Wreszcie jakiś stary zgred, pijaczek woła do mnie: *Idź do knajpy NUR FÜR DEUTSCHE, ty zdrajco!* Śmiech, a ja wychodzę. Idę do domu, kładę się na tapczan i myślę, jak tu zasnąć możliwie szybko.

Trzeci fakt. Wracam po treningu, a na wycieraczce wysypane śmieci. Tylko tyle.

Siedziałem w domu całymi dniami. Do nikogo nie chodziłem i mnie też nikt nie odwiedzał. Czekałem, że może ktoś przyjdzie. Pogada o czymkolwiek. O kinie, o dziewczynach. Zaproponuje karty. Nic. Czułem się w Warszawie, jak zbity, zaszczuty pies. Łaziłem po pokoju i wymyślałem sobie, po jaką cholerę pchałem się do tej Warszawy. A nie radzili mi, żebym jeszcze poczekał?

Swoją drogą mój przypadek mówi coś chyba o tradycyjnej polskiej tolerancji i poziomie sportowej kultury kibiców. Wiele lat grałem za granicą, jako zawodowiec. Jeździłem broniąc w reprezentacji. Niestety, porównania nie wypadają dla nas korzystnie. Mnie zresztą można nie uwierzyć. Ale był pokazywany mecz „Widzewa" w Liverpoolu. Co się po nim działo? Publika wstała i biła brawo łodzianom. Tak właśnie. A gdyby odwrócić sytuację, u nas przede wszystkim stadion gwizdałby, do upadłego, a potem cała wściekłość skupiłaby się na bramkarzu. Grobbelaarze! I idę o każdy zakład, że pojawiłyby się i takie zarzuty, iż nie jest on rodakiem (jest Afrykanerem, obywatelem RPA), że musiał pewnie dostać niezły grosz za puszczanie goli. Itd. itp. Boję się myśleć co będzie, jeśli Zbigniew Boniek grając w „Juve" przeciwko „Widzewowi" w Łodzi strzeli bramkę... Cały ten wywód ma jedynie na celu silne zaakcentowanie pewnego poglądu, który głoszę od lat. Piłkarze i w ogóle wszyscy sportowcy nie grają dla siebie, bo to by nie miało sensu. Sensem każdego widowiska jest jego odbiór, percepcja. Przy czym ma ona dwa wymiary: intelektualny (gra i jej kolejne fazy, jako fakty podlegające rejestrowaniu) i emocjonalny (gra, jako forma zaspokajania, wzbudzania, hamowania emocji). Jeśli gra, powiedzmy, Kuwejt z Bahrajnem, a my to oglądamy, znaczenie meczu jest w zasadzie tylko „intelektualne". Obserwujemy akcje, gole, faule, śmiejemy się z dziwnych nazwisk. Rejestrujemy pewne obojętne fakty. Gdy w grę wchodzi jakiś nasz interes, sprawa przybiera wymiar „emocjonalny" i taki przede wszystkim. Rejestracja faktów boiskowych ma wybiórczy charakter narzucany przez emocje. Bardziej od obiektywnego odbioru i oceny liczą się fakty pożądane. Te dla nas na rękę. Na przykład faul naszego gracza na przeciwniku, eliminujący go z dalszej gry, jest faktem pozytywnym („bo zasłużył"), ale odwrotnie — nie tylko niepożądanym, ale nagannym moralnie i angażującym emocjonalnie („cham, bydlak"). Istotą odbioru widowiska nie jest — moim zdaniem — wyeliminowanie emocji, bo jest to niemożliwe, a j e d y n i e zachowywanie właściwych proporcji. W porę tłumienie wściekłości, oburzenia, a także — euforii i radości. Sport jest t y l k o częścią życia, a nie nim całym. Zauważyłem wiele razy, że poziom kultury zachowania się kibiców zależy od trzech rzeczy: 1) poziomu gry do jakiego przywykli (klasy prezentowanej przez ligę i reprezentację); 2) poziomu kultury całego społeczeństwa; 3) stopnia popularności danego sportu w społeczeństwie. Być może temat ten rozwinę szerzej w dalszej części tego „pamiętnika". Teraz proszę jedynie o pomyślenie chwilę nad tym, co powiedziałem, i próbę własnego odmierzania proporcji. Chciałbym wywód zakończyć refleksją, że po porażce Brazylii (najlepszego zespołu „Espana '82") nikt w Rio de Janeiro nie stawiał szubienic, nikt nie zwalniał trenera i nie zastanawiał się nad wsadzaniem do kryminału zawodników, a szczególnie Valdira Peresa, bramkarza nie najlepszego, który w meczu z Włochami powinien obronić przynajmniej jeden ze strzałów Paolo Rossiego (drugi), które wylądowały w siatce.

Peres — Peresem, ale wracajmy do Tomaszewskiego. Kilka dni po meczu z NRF drużyna warszawskiej „Legii" udała się do Bukaresztu na spotkanie pucharowe (UEFA) z „Rapidem". Przeciwnik nie wydawał się szczególnie niebezpieczny. Panowała opinia, że powinniśmy sobie z nim poradzić. Ponadto opinia społeczna oczekiwała jakiegoś zadośćuczynienia za blamaż z Niemcami. Nie wyszło w mistrzostwach Europy, niech będzie — puchar.

Udawałem się na ten mecz w fatalnym nastroju. Przyznaję, że prasa sportowa w jakiś sposób, może zupełnie niezamierzenie, starała mi się dodawać otuchy pisząc, iż żadna z bramek na Stadionie X-lecia nie obciąża mojego konta. Niestety, pociecha była to marna. Sam powoli zaczynałem wierzyć, że kariera bramkarska w reprezentacji zaczęła się i skończyła tym jednym meczem.

Fot. Cezary Krupa

Wychodząc na boisko nie nadawałem się do gry. Trener Chruściński też o tym dobrze wiedział. Nie miałbym wcale pretensji, gdyby stanął między słupkami Piotrek Mowlik, nowy nabytek wojskowych, palący się do gry. Byłem w sytuacji bez wyjścia. Gdybym powiedział, że nie chcę bronić, bo nie czuję się na siłach, stanowiłby to, po „fatalnym" meczu z NRF, następny „dowód", że Tomaszewski się kończy. Nie tylko jest kiepski, ale do tego mało ambitny, nie chce się zrehabilitować. Itd. Szedłem na płytę jak na ścięcie. I faktycznie „ścięto" mnie bardzo szybko. Już w 29 minucie Rumuni prowadzili 3:0 i było po herbacie. W bramce zastąpił mnie Mowlik i zagrał bardzo dobrze. Puścił jedną bramkę, ale w sytuacji nie do obrony.

Mecz w Bukareszcie przesądził o odpadnięciu „Legii" z dalszych gier, a do moich niemieckich „grzechów" doszły jeszcze rumuńskie. Wściekłość kibiców była taka, że wystawianie mnie w meczach ligowych traciło sens; zwłaszcza w Warszawie. Już samo odczytanie przez spikera mojego nazwiska wywoływało burzę wycia i gwizdów. Moje miejsce zajął Mowlik. Po krótkim okresie, kiedy byłem pierwszym bramkarzem legionistów, znów wróciłem na pozycję dublera. Do mojej sytuacji przyczyniło się jeszcze i to, że „Legia" była (i jest do dziś) drużyną bardzo nie lubianą. No i sumowało się: nie lubiana drużyna + bramkarz — zdrajca. Gdybym grał w „Górniku" Zabrze, którego dla odmiany lubiono, może jakoś by ni wybaczono, zapomniano. A tu nie było przeproś.

Również moja sytuacja w klubie psuła się coraz bardziej. Niby nic nie mówiono. Niby nie było sprawy. Ale gdy w grudniu 1971 r. i styczniu 1972 r. wojskowi polecieli na tournée do Ameryki Południowej nie zagrałem przez sześć tygodni żadnego meczu; wszystkie natomiast Piotrek Mowlik. Grał notabene bardzo dobrze. Ale mnie nie dano nawet cienia szansy! Byłem po prostu turystą.

Rok 1971 nie był dla mnie najszczęśliwszy i bardzo chętnie go żegnałem. W klasyfikacji dziesięciu najlepszych bramkarzy umieszczono mnie na piątym miejscu za: Janem Gomolą, Hubertem Kostką, Zbigniewem Pocialikiem i Marianem Szeją. Z całą pewnością nie był to szczyt marzeń. Jedynym pocieszeniem było to, że byłem w tym gronie najmłodszy. W komentarzu do klasyfikacji napisano o mnie m.in.: *...pozostaje nadal żołnierzem, zbyt długo noszącym buławę marszałkowską w tornistrze.* Przy tej okazji zaczęła się również dyskusja nad systemem szkolenia bramkarzy w Polsce. Obiektywną publikacją z tamtego okresu był artykuł Mieczysława Szymkowiaka „Z samouka nie wyrośnie polski Jaszin". Cytował w nim wypowiedź Huberta Kostki: *Jest źle. Większość naszych trenerów nie ma pojęcia o szkoleniu bramkarzy. Często aplikuje się ćwiczenia wręcz szkodliwe. Taki Tomaszewski to chyba największy nasz talent. Już przed dwoma laty zwróciłem na niego uwagę. Przy jego sprawności, wzroście, miękkości ruchów, skłonności do gry na przedpolu posiada wszelkie warunki do zrobienia dużej kariery. A u nas będzie o to trudno. To dopiero świetny materiał. W ojczyznach Banksa, Jaszina i Maiera w ciągu roku zrobiono by z niego świetnego bramkarza. U nas... Mam poważne obawy.* Artykuł był dedykowany wydziałowi szkolenia PZPN.

Postanowiłem, jeszcze raz ostro przepracować zimę. Rok 1972 był rokiem Olimpiady w Monachium i marzeniem moim było dostać się do kadry, a może i na igrzyska. Pracowałem jak wół w nadziei, że w pracy znajdę zapomnienie i jakoś dojdę do siebie. Z nadzieją oczekiwałem rundy wiosennej. Szansy nie dostałem. Wychodziłem na krótko, w sytuacjach kiedy wynik w zasadzie był jasny. Cały mecz zagrałem dopiero na Wielkanoc. Graliśmy wtedy w ćwierćfinale Pucharu Polski z „Rakowem" Częstochowa. Był to drugi mecz, rewanżowy (bo wtedy grało się systemem: mecz-rewanż), kiedy już po pierwszym było wszystko wiadomo.

Znalazłem się w sytuacji, w jakiej kiedyś był Władek Grotyński. Zostałem wysadzony przez teoretycznie tego drugiego. W pewnym momencie zaświtała nadzieja, że coś z tego mojego łapania jeszcze będzie. Zagrałem bardzo dobry mecz z „Wisłą" w Krakowie zakończony remisem 1:1. Po meczu, który obserwował trener Górski, powiedział on Bernardowi Blautowi, że jeżeli zagram jeszcze takie dwa mecze, to kto wie, czy nie zmieszczę się w kadrze na Olimpiadę, jako trzeci bramkarz (za Kostką i Szeją). Następny mecz graliśmy u siebie z „Pogonią" Szczecin i ja już tego meczu nie grałem. Brychczy, który był już wtedy trenerem, wstawił Piotrka Mowlika. Między tymi dwoma spotkaniami „Legia" grała w Łodzi finał Pucharu Polski z „Górnikiem" Zabrze. Przegraliśmy 2:5, a cztery gole zaaplikował nam Włodek Lubański. Mówiąc „nam" powinienem powiedzieć Mowlikowi, który tego meczu na pewno nie zaliczy do dobrych występów. Prasa była zresztą podobnego zdania. Przed meczem z „Pogonią" przyszedł do mnie Brychczy i powiedział, że co prawda Mowlik zawalił w Łodzi, ale on nie może go załamywać i dlatego go wystawia na „Pogoń". Mówił coś jeszcze o psychologii i żebym go dobrze zrozumiał. Odpowiedziałem, że jest trenerem i może decydować bez pytania mnie o zdanie. W duchu czułem się skopany i tylko zaciskałem zęby, bo nade mną nikt się nie litował.

Zrozumiałem, że moje drogi i „Legii" rozchodzą się...

Do druku przygotował:
Waldemar Piasecki